

Wir danken unserem Führer!

PIOTR BOJARSKI

POZNANIACY

przecierka

SWASTYCE

Biblioteka
Gazety
Włórczej

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIOTR BOJARSKI

POZNANIACY
przeciwko
SWASTYCE

Redakcja: **Małgorzata Kacprzakowa**

Korekta: **Teresa Walczak**

Fotoedytor: **Sylwia Tukendorf**

Przygotowanie zdjęć do druku: **Katarzyna Stachacz**

Projekt graficzny okładki: **Paweł Panczakiewicz/PANCAKIEWICZ ART.DESIGN**

Projekt graficzny makiety i skład: **Elżbieta Wastkowska**

Fotografie: **okładka – Narodowe Archiwum Cyfrowe**

East News/Ria Novosti, AKG-images/Paul Almasy/East News, AKG-images/East News, Narodowe Archiwum Cyfrowe, IPN, Piotr Skórnicki, Tomasz Kamiński, Instytut Zachodni w Poznaniu, Stowarzyszenie Pomost

AGORA^{SA}

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Wydawnictwo książkowe:

Dyrektor wydawniczy: **Małgorzata Skowrońska**

Redaktor naczelny: **Paweł Goźliński**

Koordinacja projektu: **Joanna Cieślewska**

© copyright by AGORA SA 2015

© copyright by Piotr Bojarski 2015

KSIĄŻKA DOFINANSOWANA PRZEZ



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2015

ISBN 978-83-268-1766-3 (epub), 978-83-268-1767-0 (mobi)

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Wstęp: Miasto niedocenione
Wydra nie boi się śmierci
Ewa Braun pisze do Evy Braun
Toksyny nur für Deutsche
Wilka, Niemka z AK
Szatańskie chwytły
Gdy prawda była zdradą
Akcja życia Antka Ślepoka
Niebezpieczna ślicznotka Marie Springer
Tajemnica „Róży”
Historia zdrady „Aleksa”
Zasypaliśmy ich grzecznie
Tatuś rysuje świat. Bez wojny
Woskowa płyta Himmlera
Akcja „Biała Róża” odwołana
Sowiecko-poznańskie braterstwo broni
Bibliografia
Zdjęcia



WSTĘP
MIASTO NIEDOCENIONE

Poznań nie miał szczęścia do wojennej legendy. Polski ruch oporu kojarzy się nam przede wszystkim z Warszawą, powstaniem w sierpniu 1944 roku, wreszcie z akcją „Burza”. Poznań zdaje się pozostawać gdzieś na peryferiach tej heroicznej opowieści. Niesłusznie. Wcielone do III Rzeszy i bezlitośnie germanizowane miasto nie poddało się. Miało bohaterów, którzy wprawdzie rzadko strzelali do okupantów, ale walczyli z nimi na śmierć i życie. A śmierć pisana im była nawet częściej niż w stolicy.

O Poznaniu i poznaniakach czasów wojny krążą złośliwe dowcipy. Jeden z najbardziej nieprawdziwych – i jednocześnie krzywdzących – brzmi: „W czasie wojny w Poznaniu nie było konspiracji, bo była zabroniona”. Nic bardziej mylnego. Ruch oporu w mieście, w którym pod koniec wojny co czwarty mieszkaniec mówił po niemiecku, był mocno utrudniony. Istniał, choć miał inny charakter.

Niemiecka okupacja Poznania rozpoczęła się 10 września 1939 roku. Już 20 września w Pracowni Haftu Artystycznego Stefanii Perskiej w Pasażu Apollo odbyło się pierwsze konspiracyjne spotkanie. Na tajne obrady przyszli: dawny prezydent Poznania Cyryl Ratajski, Adolf hrabia Bniński, Adam Poszwiński, pułkownik Roman Małachowski, Stanisław Marciniak i Ludwik Nowak. Marciniak został zobowiązany przez Ratajskiego do włączenia się do niemieckiej akcji ewidencjonowania ludności. Cel był jasny i konkretny: zdobycie fałszywych dokumentów potrzebnych do ratowania Polaków. Nowak otrzymał natomiast zadanie zorganizowania konspiracji w południowej Wielkopolsce. Sześć dni później polska młodzież z Wildy zerwała pierwsze niemieckie tablice z nazwami ulic.

Jeszcze w 1939 roku Adolf Hitler zdecydował, że Poznań stanie się nowym okręgiem Rzeszy. 29 stycznia 1940 roku Niemcy przekształcili Okręg Poznań w Wartheland – Kraj Warty. Namiestnikiem Führera został Arthur Greiser, Niemiec z wielkopolskiej Środy, który za punkt honoru postawił sobie uczynienie z Wielkopolski „wzorcowego okręgu Rzeszy”. Greiser wprowadził system okupacyjny o niespotykanej na innych ziemiach polskich represyjności. Uznani za „rasę niższą” Polacy zostali pozbawieni mieszkań

i przekwaterowani do pomieszczeń o najniższym standardzie, musieli pracować jak niewolnicy dla gospodarki wojennej III Rzeszy, otrzymywali najniższe możliwe wynagrodzenia, pozbawiono ich specjalistycznej opieki lekarskiej. Greiser był tak perfidny, że nie zawahał się podwyższyć granicy wieku uprawniającego do zawierania przez Polaków małżeństw. Zdecydował też, by zamknąć poznańskie kościoły – poza dwoma: św. Wojciecha i Matki Boskiej Bolesnej, które musiały wystarczyć ponad 200 tysiącom praktykujących Polaków.

Już w listopadzie 1939 roku ruszył szeroko zakrojony program wysiedleń Polaków do Generalnego Gubernatorstwa. Do końca 1939 roku z całego Kraju Warty wysiedlono niemal 90 tys. Polaków. Okupanci planowali wysiedlić z Kraju Warty 3,4 mln Polaków i osiedlić na ich miejsce 4,5 mln Niemców z Rzeszy, krajów bałtyckich i wschodnich krańców Europy. Wielkopolska miała zostać w ciągu 10 lat całkowicie zniemczona.

Do „niemieckiego” Posen zjeżdżali często nazistowscy dygnitarze. Snuli tu wizje Tysiącletniej Rzeszy, czystej rasowo i pozbawionej Żydów oraz Słowian. To w Poznaniu w październiku 1943 roku szef SS Heinrich Himmler mówił bez ogródek na odprawie z dowódcami swych morderczych formacji, że Żydzi muszą zostać do cna wyniszczeni. I nie krył, że taki sam los jak Żydów (wymordowanych w obozie w Chełmnie nad Nerem) ma spotkać Polaków.

Okręg Poznański Związku Walki Zbrojnej powstał w czerwcu 1940 roku, a więc stosunkowo późno. Wynikało to m.in. z przedwojennych nieporozumień i animozji na linii Poznań – Warszawa. Poznań był miastem o ogromnych wpływach endecji, podczas przewrotu majowego oddziały poznańskie pospieszyły na pomoc rządowi – wystąpiły przeciwko Józefowi Piłsudskiemu. Poznaniacy byli z tego powodu pomijani w polityce awansów sanacyjnych rządów II RP. Poczucie krzywdy narastało i utrudniało porozumienie w warunkach wojny. Nic więc dziwnego, że pierwsze organizacje konspiracyjne w Poznaniu powstawały w środowiskach o zapatrywaniach endeckich.

Fizyczna eliminacja polskiej elity intelektualnej jesienią 1939 roku, rosnąca gwałtownie liczba Niemców, małe zalesienie Wielkopolski, rozwinięta sieć

dróg – wszystko to spowodowało, że w Poznaniu i Kraju Warty nie mogła powstać typowa partyzantka. W Poznaniu – gdzie każdy ruch Polaka był obserwowany przez niemieckiego sąsiada – organizacje konspiracyjne skupiły się na wydawaniu niepodległościowej prasy podziemnej, kształtowaniu świadomości, hartowaniu ducha oporu. Wielkopolskie Kierownictwo Związku Odwetu przygotowywało się do wojny biologicznej z okupantem, choć stopień zaawansowania tych przygotowań do dziś wywołuje dyskusje wśród historyków. Świetnie rozwinęły się wywiad i sabotaż. Przykładem może być brawurowa akcja „Bollwerk”, której finałem było spalenie niemieckich magazynów nad Wartą. Z Poznania, w którym przed wojną każdy znał dobrze język niemiecki, pochodziły świetne kurierki, m.in. Zofia Rapp i Halina Cimino. Czy ta ostatnia zdradziła konspiratorów z „Ojczyzny”? Odpowiedzi na to pytanie nie poznamy już być może nigdy.

Historycy szacują, że w konspiracji w Poznaniu i Wielkopolsce działało 23–25 tys. żołnierzy. Co trzeci z nich został aresztowany przez gestapo. Wielu z nich – co dokumentuje również ten zbiór reportaży – zapłaciło cenę najwyższą. Ginęli na szubienicach, ścięci gilotyną, podczas masowych egzekucji. W Forcie VII, w Domu Żołnierza, w niemieckich więzieniach, obozach koncentracyjnych i w do dziś nieznanymi miejscach straceń. Ta książka ma przypomnieć czyny, twarze i losy niektórych z nich. Losy dramatyczne.



WYDRA NIE BOI SIĘ ŚMIERCI

„Śledztwo w naszej sprawie jeszcze nieskończone. Po skończeniu spodziewam się wywozu do innego więzienia, względnie Dachau, ale z tym można żyć” – pociesza rodzinę.

Wczesnym rankiem 27 września 1942 roku przed gilotyną w berlińskim więzieniu Plötzensee staje Irena Bobowska, dwudziestodwuletnia poetka z Poznania. Miesiąc wcześniej nazistowski Wyższy Sąd Krajowy w Posen skazał ją na karę śmierci. Dziewczyna jest spokojna. Oprawcy zapewne podtrzymują ją w ostatnich chwilach za ręce, sama nie zdoła podejść do gilotyny.

DUSZA NA WÓZKU

Poznań, sześć lat wcześniej. W niedużym, parterowym domku Zofii i Teodora Bobowskich na Warszawskiej 116 jest zawsze wesoło. Bobowscy mają cztery córki i syna. Duszą towarzystwa jest Irena, druga córka Bobowskich, urodzona w 1920 roku. Nenia – tak na nią wszyscy mówią – siedzi od dzieciństwa na wózku inwalidzkim. Gdy miała dwa lata, przeszła chorobę Heinego-Medina. Leczenie Neni w polskich i zagranicznych klinikach nie przynosi skutku. Kosztuje za to tyle, że rodzina w 1936 roku musi się wyprowadzić z kamienicy na Starym Rynku i przenieść na ulicę Warszawską.

Drobna Irena ma dar przyciągania ludzi. Wraz z siostrami uczęszcza do Gimnazjum im. Dąbrówki na Młyńskiej (budynek zostanie zniszczony w czasie wojny). Podjeżdża wózkiem pod szkołę, a do klasy trafia zwykle na rękach koleżanek. Nauczyciele chwalą jej inteligencję, piękne rysunki. I zaangażowanie – mimo swoich ograniczeń jest aktywną harcerką. Gdy skończy gimnazjum, zajmie się dziećmi w świetlicy Towarzystwa Czytelni Ludowych na Osiedlu Warszawskim. Dzięki niej powstanie tam biblioteka dla młodzieży.

Lato 1939 roku. Nad Polską zbierają się wojenne chmury. Radio nadaje komunikat o poszukiwaniu ochotników do „żywych torped”, które mają zostać użyte przeciwko niemieckim okrętom. Starannie wyselekcjonowane osoby mają w samobójczej misji skierować pocisk z materiałem wybuchowym na jednostkę wroga. Dziewiętnastoletnia Nenia w tajemnicy

przed rodzicami zgłasza swoją gotowość. Gdy sprawa się wyda, wytłumaczy się: – Z moim kalectwem nie mogłam się inaczej przysłużyć ojczyźnie.

POLACY, POBUDKA!

Gdy Niemcy atakują Polskę, nikt nie wzywa Neni na „żywą torpedę”. To jednak koniec beztróskiego życia Bobowskich. Ojciec Neni, porucznik rezerwy Teodor Bobowski, dostaje się do sowieckiej niewoli (zginie w Katyniu). A niemieccy okupanci odbierają matce Ireny sklep z kapeluszami na Starym Rynku. I zapędzają całą rodzinę do pracy przymusowej w tzw. Prochowni. Jedynie Nenia jako kaleka zostaje zarejestrowana w niemieckim Arbeitsamt jako niezdatna do pracy.

W zajętych przez Niemców Poznaniu rodzą się pierwsze podziemne organizacje. I pierwsze grupy Szarych Szeregów. Nenia nie może usiedzieć w miejscu. Już w październiku 1939 roku wpada na pomysł wydawania podziemnej gazetki „Pobudka”. Pismo jest organem Poznańskiej Organizacji Zbrojnej, a potem Wojskowej Organizacji Ziemi Zachodnich. Powstaje w jeżyckim mieszkaniu Romana Kwiatkowskiego przy Poznańskiej 27. W nocy konspiratorzy nasłuchują zachodnich rozgłośni, a spisane wiadomości trafiają do Neni. Ta opracowuje je i przygotowuje na matrycach do powielania. Zdarza się, że potem rozwozi pismo po mieście. Ukrywa je pod siedzeniem wózka inwalidzkiego.

W lutym 1940 roku zostaje zaprzysiężona do POZ-u, dostaje pseudonim „Wydra”. „Pobudka” ukazuje się już co tydzień, ma od czterech do dziewięciu stron. Po Poznaniu rozchodzi się nawet sto egzemplarzy pisma. Mimo skromnych rozmiarów „Pobudka” ma ogromne znaczenie, podnosi na duchu Polaków. „Złą sytuację w Polsce polepszą Anglia i Francja, które pokonają Niemców. Polska znów odniesie zwycięstwo i będzie jeszcze większa, niż ustalono w traktacie wersalskim. Polska znów zmartwychwstanie” – pisze Nenia w jednym z wydań „Pobudki”.

SPODZIEWAM SIĘ DACHAU

Do dziś nie przetrwał żaden egzemplarz „Pobudki”. Zasady konspiracji są twarde: każdy numer po przeczytaniu musi zostać zniszczony. A jednak nie wszystkie gazetki dostają się w powołane ręce. Kilka z nich trafia do siedziby gestapo na Ritterstrasse.

20 czerwca 1940 roku do mieszkania Romana Kwiatkowskiego przy Poznańskiej 27 wpadają gestapowcy. Organizacja zostaje zdekonspirowana. Niemcy aresztują Nenię, matkę Romana Kwiatkowskiego i Stanisława Dornę. Jeszcze tego samego dnia w ich ręce wpada redaktor naczelny „Pobudki” Roman Kwiatkowski. Matka i siostry Neni unikają aresztowania: uprzedzone o niebezpieczeństwie, zdążą ukryć maszynę do pisania i materiały dziennikarskie.

Bobowska trafia do niemieckiej katowni urządzonej w Forcie VII. Siedzi w celi nr 23. Utrzymuje kontakt z rodziną dzięki grypsom, które przemyca w paczkach z brudną odzieżą, wymienianych na paczki z żywnością. W listach, skreślonych ołówkiem na kawałkach papieru, Irena nigdy się nie skarży. Pobyt w forcie opisuje niemal jak przygodę. Drwi z trudnych warunków, jest pełna optymizmu. O przesłuchaniach pisze zdawkowo. „Śledztwo w naszej sprawie jeszcze nieskończone. Po skończeniu spodziewam się wywozu do innego więzienia, względnie Dachau, ale z tym można żyć” – pociesza rodzinę.

„W kartach mi wróżyli, że Mamusia się martwi. To nieładnie” – pisze innym razem do domu.

„Co do mnie, mam wrażenie, że śledztwo ukończone, byłam fotografowana, odciski rąk itd. Nie wiem, czy tu zostanę” – informuje w sierpniu.

WIEM, JAK KŁUJE ZIMNO

We wrześniu 1940 roku grypsy Neni z fortu urywają się. W październiku Niemcy przewożą „Wydrę” do więzienia we Wronkach.

Oprawcy nie wierzą, że Nenia nie może chodzić – znęcają się nad nią, biją i głodzą. Z bezwładnych nóg zdejmują jej szyny – specjalny aparat pomagający jej nieudolnie chodzić. Od tej pory Nenia porusza się po celi

na czworakach, a właściwie czołga się po lodowatej, betonowej posadzce.

„Wśród mnóstwa ciężkich i bolesnych badań nie załamała się” – napisała Wanda Krawiec-Serwańska, instruktorka harcerska i również więźniarka Fortu VII. – „Pozbawiona zupełnie możliwości poruszania się, umęczona badaniami, zziębnięta i chora leżała na pryczy skazana we wszystkim na »opiekę« bestialskich kobiet z obsługi więziennej, które mściły się na niej za to, że musiały przy niej wypełniać wszelkie posługi”.

Nenia ma twardy charakter. Nie poddaje się. Aby dodać sobie otuchy, pisze w celi wiersze. Zachowało się kilka z nich, przesłanych matce w listach. We Wronkach powstaje jej najbardziej znany utwór, który nieść będzie potem pokrzepienie więźniom obozów koncentracyjnych: „Bo ja się uczę największej sztuki życia: / uśmiechać się zawsze i wszędzie, / i bez rozpaczyny znieść ból, / i nie żałować tego co przeszło, i nie bać się tego co będzie. / Poznałam smak głodu / I bezsennych nocy (to było dawno) / I wiem jak kłuje zimno / Gdy w kłębek chciałbyś skulony, / Uchronić się od chłodu...”.

Ten wiersz Stanisława Kwiatkowska, ciotka Neni, wynosi z więzienia ukryty w bucie. Powielany, krążyć będzie po okupowanym Poznaniu, a dzięki Wandzie Serwańskiej – również uwięzionej za pracę w konspiracji – trafi w 1943 roku do więźniarek w Oświęcimiu. Stanie się ulubionym wierszem żołnerek Armii Krajowej, wskazówką, jak żyć.

WAS BĘDZIE SĄDZIĆ KTOŚ WYŻSZY

W kwietniu 1941 roku Niemcy przewożą Bobowską do więzienia w berlińskim Moabie. „Bajka to niby, niosło mnie w lektyce 4 niewolników, a obok kroczyła eskorta z najeżonymi bagnietami. Ogromnie wielkie i huczące ulice Berlina z podziwem spoglądały na mnie i mój pochód” – opisuje w liście do matki Nenia z właściwą sobie fantazją.

Po koszmarze Wroniek więzienie w Moabie wydaje się jej „rajem”. Leży w lazarecie z powodu chorych nóg. W listach do rodziny pisze, że ma dobre jedzenie i picie. „Jest mi tu lepiej niż niejednemu na zewnątrz; brak jedynie wolności. Ale, mam nadzieję, że i ten czas nadejdzie, kiedy znów będę mogła być wolna [...]”.

Zachował się rysunek celi Neni, wykonany przez nią samą. Przedstawia niewielkie, czyste pomieszczenie ze stołem, ubikacją i wiadrem w rogu.

W Wigilię 1941 roku Bobowska wysyła do domu własnoręcznie ilustrowaną kartkę. Widać na niej Gwiazdora z białą brodą i workiem na plecach. Pod spodem – jej nowy wiersz: „Ja lubię sobie wyobrażać, / że jestem z bajki taką dobrą wróżką / Przedziwne cuda mogę stwarzać / Mą czarodziejską różdżką. / I wtedy chodzę i sieję po świecie / Taki radosny, dźwięczny śmiech / Śmiech, który wszystko zło wymiecie / Przed którym zniknie wszelki grzech [...]”.

Matka Neni pisze do naczelnego prokuratora Rzeszy prośby o widzenie z córką. Za każdym razem otrzymuje jednak odmowę.

W sierpniu 1942 roku „Wydra” staje przed sądem. Na rozprawie wolno jej zabrać głos. Mówi przez pół godziny, nie wypowiada jednak ani jednego słowa na swoją obronę. Jej wystąpienie brzmi jak akt oskarżenia: przypomina Niemcom historię rozbiorów, antypolską politykę Bismarcka i Kulturkampf.

„Dziś wy mnie sądzicie, ale was będzie sądzić ktoś wyższy” – kończy swoje wystąpienie.

NIE BĘDZIECIE SIĘ MNIE WSTYDZIĆ

„Oskarżona Bobowska w pełni przyznała się do winy” – napisze w uzasadnieniu wyroku nazistowski sędzia. „W swym ostatnim słowie wyjaśniła m.in.: [...] że Polska Niemcom żadnej wierności dotrzymywać nie potrzebuje, a kiedy Niemcy w tej wojnie zostaną pokonane, dążenia do zdobycia władzy przez Polaków powinny być Niemcom obojętne, gdyż i tak nie będą mogli im przeciwdziałać. [...] Takie fanatyczne nastawienie przeciwko narodowi niemieckiemu może być skutecznie zwalczane tylko drogą zniszczenia, a więc poprzez karę śmierci”.

Nenia przyjmuje wyrok z godnością i spokojem. „Mam nadzieję, że będę mogła jeszcze do Was napisać, lecz jeśli tak by nie miało być, to przyjmijcie, że dostałam urlop i pożegnajcie mnie, moi bracia i siostry. [...] Dostałam rozkaz, jestem gotowa do podróży” – pisze w brulionie do swoich bliskich.

Tych słów nie zdąży już wysłać.

Wyrok wykonano na gilotynie 27 września 1942 roku o godzinie 4.36. W tym samym dniu straceni zostali współpracownicy Neni z „Pobudki”: Stanisław Michalski, pseudonim „Łoś” (pracownik „Kuriera Poznańskiego”, drużynowy 7. Drużyny Harcerskiej w Poznaniu), i Radziwój Zakrzewski (kupiec i harcerz).

Parę godzin przed egzekucją Irena Bobowska po raz ostatni napisała do matki. Mogła to zrobić tylko po niemiecku, ale wplotła w list polskie „Matus”:

„Moja droga Matus! Dzisiaj, a właściwie jutro wczesnym rankiem... pójde na śmierć. [...] Był już u mnie ksiądz i przyjdzie jeszcze z Komunią świętą. Jestem w dobrym nastroju i mam nadzieję, że odwaga nie opuści mnie aż do końca. Nie będziecie potrzebowali się mnie wstydzic [...]. Nie jest ważne to, co osiągnęliśmy, ale to, jak walczyliśmy [...]. Zostańcie z Bogiem; ja idę do Niego, wierzę, że On mnie przyjmie”.

SKWER NENI

Nenia Bobowska jest dziś patronką kilku poznańskich drużyn i szczepów harcerskich.

„Tak jak Krzysztof Kamil Baczyński zginęła za Polskę, a nie ma w Poznaniu swojej ulicy. Dlaczego?” – pytał dwa lata temu czytelnik „Gazety Wyborczej” Stefan Lamęcki, który pamiętał Nenię sprzed wojny.

Dzięki staraniom Stowarzyszenia Przyjaciół Szkoły im. Dąbrówki od niedawna o Neni przypomina tablica na skwerze u zbiegu ulic Przybyszewskiego i Dąbrowskiego. W listopadzie 2012 roku skwer otrzymał oficjalnie jej imię, a w Szkole im. Dąbrówki przypomniwała o niej specjalna wystawa.



EWA BRAUN PISZE DO EY BRAUN

Na pomysł wpadła ciotka Felicja: – Trzeba napisać do Ewy Braun, kobiety Hitlera! List musi podpisać nasza Ewunia! To na pewno zrobi wrażenie!

Ewa Braun ćwiczy pasaże. Bierze lekcje pianina u najlepszej nauczycielki muzyki w mieście. Latem 1939 roku ma piętnaście lat, jedynaczka, cieszy się, że jej ojciec nie idzie na wojnę. Augustyn Braun, pięćdziesięcioletni urzędnik kolejowy ze Środy Wielkopolskiej, który kiedyś służył w Armii Pruskiej, a potem w kompanii powstańców wielkopolskich, nie dostaje karty mobilizacyjnej. Wojna zbliża się wielkimi krokami, ale armia uważa, że Braun jest na nią za stary.

W dalekim Berlinie Eva Braun (potem Hitler) jest zła na „upartych, nierozumnych” Polaków. Nie chcą się ugiąć pod żądaniami Adiego, jej ukochanego, który powtarza, że Gdańsk musi wrócić do Rzeszy! W swoim albumie fotograficznym notuje: „Ale mimo to Polska nie chce pertraktować”. Na pięćdziesiąte urodziny kupuje Adiemu złote spinki do mankietów, z herbem Gdańska i diamentową swastyką.

KTO PODNIESIE RĘKĘ NA NIEMCA

Rano 1 września 1939 roku na stację kolejową i cukrownię w Środzie spadają niemieckie bomby, ginie dziewięć osób. Augustyn Braun wraca szczęśliwie do domu. 10 września miasto zajmuje Wehrmacht. Na rynku Arthur Greiser, hitlerowski namiestnik w okupowanej Wielkopolsce, grozi: – Każdy Polak, który podniesie tylko rękę na Niemca, będzie wymazany z rejestru osób żyjących na świecie! W dwadzieścia cztery godziny stanie się dzieckiem śmierci!

Gauleiter spogląda na kamienicę, w której urodził się przed czterdziestu dwu laty. (Po powstaniu wielkopolskim nigdy tu nie wrócił).

Już 17 września na łące za torami kolejowymi Niemcy rozstrzelują osiemnastu mężczyzn. Zanim zginą, ofiary muszą najpierw wykopać dół. Miesiąc później masakra na Rynku, egzekucja dwudziestu dziewięciu wybitnych mieszkańców Środy. W grudniu ruszają wywózki Polaków ze Środy do Generalnego Gubernatorstwa. Greiser chce jak najszybciej oczyścić teren z „podludzi”.

KONSPIRACJA NA ŚWIĘTEGO DUCHA

Augustyn Braun, ojciec Ewy, latem 1940 roku zostaje zaprzysiężony do Narodowej Organizacji Bojowej – konspiracyjnej grupy narodowców. Ma pseudonim „Gustek”, dwa lata później jest już żołnierzem Armii Krajowej. Mieszkanie Braunów w kamienicy przy Świętego Ducha 5 staje się miejscem tajnych spotkań.

Kiedy do ojca przychodzą konspiratorzy, Ewa Braun bawi się piłką na ulicy. Pilnuje, gdyby pojawili się Niemcy, ma uderzyć piłką w okno.

Szkoła zamknięta, więc Ewa idzie do pierwszej pracy. Z koleżankami ze szkoły sortują jaja w Eiersammelstelle (punkcie odbioru jaj). Robią sobie zdjęcia: Ewa przy stole, na którym leżą dziesiątki jaj. Prześwietlają je w ciemni i odrzucają nieświeże.

– Te pęknięte mogliśmy kupić za półdarmo i brać do domu – Ewa Braun (teraz Smoleńska) wyjmując z szafy książkę Daniela Costelle’a „Eva Braun. Intymność z Hitlerem” – Niech pan patrzy, kiedy pracowałam w jajczarni, Eva Braun opalała się we Włoszech – Smoleńska pokazuje zdjęcie z książki. Dzisiaj Ewa Braun ze Środy ma 86 lat. Odnalazłem ją w kamienicy przy poznańskim Starym Rynku. Porusza się o kuli. Niedawno miała wylew. Mówi z trudem.

Lipiec 1940 roku. Eva Braun (potem Hitler) cieszy się ze zwycięstwa Adiego nad Francją. Samolotem Hitlera „Grenzmark” leci z Monachium na wakacje do Włoch. W słonecznym Portofino ustawia kamerę na statywie, filmuje swoją gimnastykę na plaży i skoki przez fale. Zwiedza Pompeje i Florencję, filmuje Wezuwiusza i pejzaże Toskanii.

SZPIEG NAD PLANAMI LOTNISK

Znowu Środa. Ojciec Ewy jest dobrze zakamuflowany. Pracuje jako główny księgowy w niemieckiej firmie budowlanej Georga Jürgensa. Remontują gospodarstwa rolne dla nowo osiedlanych Niemców ze Wschodu, ale przede wszystkim budują obiekty dla Wehrmachtu. Braun zna świetnie niemiecki, więc w firmie traktują go jak Niemca. Razem z kolegą z konspiracji kopiuje plany lotnisk w Krzesinach, Mącznikach

i Śnieciskach oraz okolicznych obiektów wojskowych. Mają w biurze schowek na nielegalne dokumenty i prasę konspiracyjną. Kiedy nie ma szefa, słuchają Londynu z firmowego radioodbiornika.

Niemieckim kontrolerom z Poznania nie podoba się, że na tak wysokim stanowisku zasiada Polak. Naciskają, by podpisał volkslistę. Grożą zwolnieniem. Ale Braun odmawia.

Eva Braun czeka w Oberhofie na Adolfa. Jej ukochany jest u szczytu wojennego powodzenia. Mimo porażki pod Moskwą latem 1942 roku wojska niemieckie prą w kierunku Wołgi i Kaukazu. Eva ogląda kroniki filmowe: niemieccy strzelcy alpejscy zatykają flagę ze swastyką na Elbrusie, a Wehrmacht podchodzi pod Stalingrad. We wrześniu słucha radiowego przemówienia Adiego. – Nikt nie jest w stanie wydrzeć nam zwycięstwa! – peroruje Hitler.

WSYPA PRZEZ NOTES

10 listopada 1942 roku do firmy Jürgens w Środzie wkraczają tajniacy. Już od września, kiedy w ręce gestapo wpada Antoni Malanowski, szef grupy, i jego notes z kontaktami, Niemcy deptają po piętach konspiratorom. Gestapo wywleka Augustyna Brauna z biura. Trafia do obozu koncentracyjnego w Forcie VII w Poznaniu. – Na gestapo wybili mu wszystkie zęby – pamięta córka Ewa. W czasie katowania „Gustek” mdleje, ale milczy. Po ciężkim pobiciu przez dwa tygodnie nie może chodzić. Przyznaje się dopiero, gdy gestapowcy pokazują mu czarny notes dowódcy. Podpisuje oświadczenie, to koniec tortur, ale też pewna kara śmierci.

Na gestapo wpada Jürgens, szef Brauna. Tłumaczy, że Braun to jego prawa ręka, człowiek niezbędny w firmie, która pracuje przecież dla Wehrmachtu.

– Zatrudniał pan głównego polskiego konspiratora – słyszy od gestapowców.

– Niemożliwe! Niemożliwe! – Jürgens kręci z niedowierzaniem głową.

Brauna przewożą do więzienia w saksońskim Zwickau. Do Środy trafiają

grypsy, pisane ołówkiem na małych kartkach. Braun prosi o proszek przeciw wszom. Martwi się o los bliskich: „Ewo, ty zajmij się na serio znaczkami. Mamy w nich wielki majątek” – doradza. Boże Narodzenie 1942 roku w Środzie jest ciche i smutne. Ewa Braun i jej matka drżą o życie ojca.

Wigilia Bożego Narodzenia w Berghof: Eva Braun filmuje swojego ukochanego Adiego, rozdającego dzieciom prezenty. Hitler ma zmęczone, nieobecne spojrzenie. Jest rozbity klęską pod Stalingradem.

FÜHRERZMIENIAZDANIE

Wiosna 1943 roku, niemiecki Urząd Ziemi w Schroda (Środa). Ewa Braun w granatowym fartuchu z białym kołnierzykiem pochyla się nad księgą, w którą wpisuje dane ze sprawozdań właścicieli okolicznych majątków. Ma już osiemnaście lat, codziennie od ósmej do szesnastej zapełnia półki urzędu stosami nowych dokumentów. Potem pędzi na Świętego Ducha, do matki. Zaglądają do nich szkolne koleżanki, kuzynki. Pocieszają, że ojciec wróci cały i zdrowy. Ewa siada do pianina i do późnego wieczora towarzystwo śpiewa zakazane piosenki. Albo biegną nad Moskawę, by brodzić po kolana w chłodnym strumieniu. W Żrenicy strumień jest spiętrzony, szumi jak mały wodospad. Tu Ewa da się raz sfotografować ze spódnicą podniesioną odważnie aż po uda. Młodzi są radośni, wojna dla nich nie istnieje. I tylko gdy Ewa coś zmaluje, słyszy czasem wesołą pogroźkę: – Bo napiszemy do Ewy Braun!

Eva Braun fotografuje góry. Z tarasu górskiej rezydencji w Berghof codziennie podziwia panoramę Alp. Ostatnio jej Adi rzadziej zagląda do Berghofu, bo wojna absorbuje go coraz bardziej – raczej siedzi w Wilczym Szańcu. Eva martwi się jego pogarszającym się zdrowiem. Tylko ona może fotografować Adolfa, gdy jest rozdrażniony czy smutny. Albo gdy dla ukojenia nerwów bawi się ze swoim ukochanym owczarkiem Blondi.

TRZEBA NAPISAĆ DO EWY!

Więzienie w Zwickau. Rodzina nakłania Augustyna Brauna, by podpisał

volkslistę. – To może wpłynąć na wymiar kary – radzi niemiecki prokurator, który inkasuje duże łapówki. Płaci ciotka Felicja Schreck, przyrodnia siostra Brauna, która ma męża Niemca i jest volksdeutschką. „Gustek” odsyła jednak pierwszy formularz. Ustępuje dopiero po listownych namowach żony.

Latem 1943 roku wywożą go do więzienia w Rawiczu. Dla hitlerowskich sędziów z Poznania wnioski Brauna o volkslistę nie ma żadnego znaczenia. 10 lipca zapada wyrok: kara śmierci przez powieszenie.

Do mieszkania Braunów przychodzi pismo z więzienia („Augustyn Braun został prawomocnie skazany na karę śmierci”). Ciotka Felicja rzuca pomysł: – Trzeba napisać do Ewy Braun, kobiety Hitlera! A list podpisze nasza Ewunia, Ewa Braun! To na pewno zrobi wrażenie!

List pisze ciotka Felicja, bo najlepiej w rodzinie zna niemiecki. Przytakują jej dwie siostry ojca, zamieszkałe w Wiedniu. Są obywatelkami Rzeszy, mogą poprzeć prośbę.

List Ewy Braun do Ewy Braun nie zachował się.

– Nie wiem, co tam ciotka napisała, bo było po niemiecku. Ja po prostu podpisałam list, bo najważniejszy był mój podpis – opowiada Ewa Braun (teraz Smoleńska).

Prawdopodobnie kobiety wspomniały o służbie Augustyna Brauna w niemieckiej armii podczas I wojny światowej. Walczył na froncie zachodnim tak jak Adolf Hitler, który jako weteran tamtej wojny był czuły na punkcie braterstwa broni. Felicja Schreck zapewne dowodziła też, że brat znalazł się w Armii Krajowej nieświadomie.

Do listu dołączyły akt urodzenia Ewy, żeby Eva Braun nie myślała, że to mistyfikacja.

Włożyły też do koperty zdjęcie Ewy, to w kwiecistej sukience i z wiankiem we włosach.

TYLKO DEKOLTU NIE MIAŁAM

Zdjęcie rodzina zrobiła specjalnie, na łące pod Środą. Ewa musiała długo pozować. Mama i ciotki ubrały ją „po niemiecku”: biała koszula z krótkimi

bufiastymi rękawami, na to kwiecista sukienka z lekkim wcięciem pod szyją. Do tego długie jasne warkocze i wianek. Ewa uśmiecha się grzecznie. Pstrykał Jurek – mąż kuzynki, rodzinny fotograf.

– O! Niech pan spojrzy, jak ona jest na tej łące ubrana! Zupełnie jak ja w 1943 roku! Tak się wtedy chodziło! – Ewa Smoleńska z domu Braun znowu zagląda do książki „Eva Braun. Intymność z Hitlerem”. Dostała ją dwa lata temu na Boże Narodzenie od koleżanki ze Środy. Na jednej z fotografii widać trzydziestoletnią Evę Braun, schylającą się po polne kwiaty gdzieś w Bawarii. Ma niemal identyczną koszulę i kolorową sukienkę, jak Ewa Braun ze Środy. – Tylko takiego dekoltu nie miałam – uśmiecha się Smoleńska. Mówi, że Eva Braun interesuje ją od lat. – Wie pan, ona wtedy mogła mój list podrzeć i się nim nie przejąć. A jednak zrobiła inaczej.

Smoleńska ma dwie córki, jest ostatnią z rodziny średzkich Braunów. W 1951 roku wyszła za mąż za Henryka Smoleńskiego, studenta chemii na Politechnice Łódzkiej. Sama skończyła biologię na uniwersytecie w Poznaniu. Przez wiele lat pracowała w poznańskim Instytucie Zoologicznym PAN, specjalizowała się w muchówkach (nad stawami zbierała ich larwy do badań).

DŁUGIE SCHODY DO GREISERA

Eva Braun nigdy nie odpisała na list swojej imienniczki ze Środy. Czy list rzeczywiście do niej trafił? – Pewnie tak, bo razem z ciotką Felicją zawiozłyśmy ten list do Poznania, do samego Greisera – opowiada Ewa Smoleńska.

Z wizyty u gauleitera pamięta niewiele: – Smarkata byłam, nie chciałam do Greisera jechać, ale mnie popychali. Pamiętam tylko długie schody, po których szło się do gabinetu. Z Greiserem rozmawiała ciotka, ja milczałam. Ciotka przedstawiła mojego ojca jako dobrego obywatela. „Jak Pani brat był taki dobry, to dlaczego nie został volksdeutschem?” – zapytał Greiser. Nie pamiętam już, co mu ciotka odpowiedziała.

List w ciągu kilku dni dotarł do Kancelarii Rzeszy. Nie wiadomo, czy Eva

zaniósł Adiemu fotografię dziewczyny ze Środy. Historycy twierdzą, że nie miała w zwyczaju wstawiać się u Hitlera. Kiedyś uprzedziła starszą siostrę Ilse: – Tylko pamiętaj, ani słowa o polityce. Nie do nas należy kierowanie państwem. Jeśli Führer wyśle cię kiedyś do obozu koncentracyjnego za twój długi język, to nie spodziewaj się, że będę cię ratowała!

Jeszcze w lipcu przyszła odpowiedź z Kancelarii Rzeszy.

Do Panny Ewy Braun.

Pani wniosek o łaskę dla Pani ojca Augustyna Brauna wpłynął do Kancelarii. Na polecenie Führera przekazałem go do Ministerstwa Sprawiedliwości celem opracowania. Dalsze postępowanie w tej sprawie prowadzi ministerstwo pod wskazanym adresem – napisał 22 lipca 1943 roku urzędnik Kancelarii Rzeszy o nazwisku Berger.

BRAUN JUŻ WYDAŁ BUTY

Sierpień 1943 roku. Braun godzi się ze śmiercią: pisze listy pożegnalne do rodziny, zostaje ostatni raz sfotografowany, ogolony i ostrzyżony. Jego buty rozdzielają między siebie współwięźniowie z celi.

„Gustek” czeka na egzekucję. Słyszy, jak strażnicy wywołują kolejno jego towarzyszy. Przychodzi jego kolej. Wychodzi na korytarz... Ale nie prowadzą go do celi śmierci! Trafia do pokoju blokmaistra. Niemiecki urzędnik oświadcza Braunowi, że gauleiter Greiser korzystając z uprawnień nadanych mu przez Hitlera, zamienił mu karę śmierci na pięć lat ciężkiego obozu.

Warunek jest jeden: Braun przyjmie niemiecką listę narodowościową. Führer może ułaskawić tylko Niemca.

Do kamienicy przy Świętego Ducha 5 w Środzie przychodzi drugie pismo z nadrukiem „Urzędu Namiestnika Kraju Warty”.

Do Panny Ewy Braun

W odpowiedzi na Pani wniosek o łaskę nr 2095 168/42 z 19 lipca 1943 roku dla Pani ojca na ręce gauleitera w Posen. Pan namiestnik gauleiter Greiser zawiesił karę śmierci dla Pani ojca i zamienił ją na karę pięciu lat pozbawienia wolności.

– Nie sędzę, by Hitler osobiście zajmował się tą sprawą. Przypuszczam, że decyzję o zmianie kary podjął minister sprawiedliwości III Rzeszy – mówi Aleksandra Pietrowicz z poznańskiego IPN-u, specjalistka od konspiracji wielkopolskiej w czasach okupacji. Ale Adela Borowska-Wałęska, autorka niepublikowanej pracy o średzkiej konspiracji, napisała: „Pomysł okazał się szczęśliwy, gdyż kierując się odruchem serca do ukochanej kobiety, Hitler zdobył się na gest szczególnej łaski”.

Jest też wzmianka w „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”: „Na skutek listu córki Ewy, skierowanego do Kancelarii Adolfa Hitlera na ręce Ewy Braun, karę zamieniono na pięć lat obozu karnego po wniesieniu wniosku o wpisanie na VD”.

– Najważniejsze, że list okazał się skuteczny – uśmiecha się Ewa Smoleńska.

KILKA ŁYŻEK OD ŚMIERCI

Zima 1945 roku. Augustyn Braun „Gustek” trafia do więzienia w Rollwald-Niederode nad Renem. Wygłodzony i schorowany (waży trzydzieści sześć kilogramów) dogorywa w „baraku śmierci” razem z najbardziej wycieńczonymi więźniami.

W lutym, gdy „Gustek” walczy o życie, Eva Braun opuszcza rezydencję w Berghofie i jedzie mercedesem do stolicy Rzeszy. Wokół Berlina zaciska się pętla sowieckich armii, miasto leży w gruzach. W bunkrze pod Kancelarią Rzeszy Führer już wie, że nie ma dla niego żadnej nadziei. 29 kwietnia Eva i Adolf biorą ślub. Eva przyjmuje nazwisko Hitler. Dzień później popełniają samobójstwo.

Marzec 1945 roku. Do obozu w Rollwald-Niederode wkraczają amerykańscy żołnierze. Wojskowi lekarze powoli stawiają Brauna na nogi; codziennie dostaje jedną łyżeczkę strawy więcej. Inaczej nie można – grozi mu skręt kiszek. – Ojciec był bardzo szczupłym człowiekiem i zawsze powtarzał, że dzięki temu przeżył obóz – przypomina sobie pani Ewa. – Wspominał, że zawsze pił kawę jako ostatni, bo dzięki temu mógł się pożywić fusami.

EWA BRAUN IDZIE DO SZKOŁY

Gazety przynoszą do Środy wiadomość o śmierci Hitlera i Evy Braun. Jest maj 1945 roku, koniec wojny. Ewa Braun pomaga średzким nauczycielom zorganizować szkołę podstawową. Jesienią krótko uczy czytania dzieci z pierwszej klasy. – Wiele z nich było już wyrosniętych, ale czytać nie umiało, bo ich rodzice w czasie wojny nie nauczyli – opowiada. W lutym 1946 roku zgłasza się na uniwersytet poznański, zdaje trudne egzaminy. Dostaje się na studia biologiczne.

Augustyn Braun pracuje w Polskiej Komendzie Obozów przy 7. Armii USA, organizując wyjazdy byłych więźniów do Polski. W listopadzie 1945 roku wraca pierwszym transportem do domu.

– Pamiętam, jak ojciec wrócił taki wychudzony, biedny. Popłakałyśmy się z mamą, oj, popłakaliśmy – głos Ewy Smoleńskiej drży ze wzruszenia. – Rodzina się zaraz zesłała, nawet znajomy ksiądz, a ojciec długo opowiadał straszne historie z obozu. Nie chciał, żebym tego słuchała, odganiał mnie. Ale i tak podsłuchiwałam. Opowiadał, jak go bili, kopali. O liście do Evy Braun dowiedział się od ciotki Felicji, która odwiedziła go w więzieniu w Rawiczu. Nie wierzył, że to mu pomoże. Ale potem, po ułaskawieniu był ciotce wdzięczny.

– Tata nigdy się Evą Braun nie zainteresował, do sprawy listu nie wracał – zwierza się pani Ewa. – Ale zawsze podkreślał, że volksdeutschem nie był i żadnych korzyści z tego nie mieliśmy.

EPILOG: ŻAŁUJĘ

Po wojnie Braun pracuje jako księgowy w cukrowni, ma zrujnowane zdrowie. Zмага się z rakiem przełyku, je coraz mniej. Umiera w grudniu 1950 roku. Bohatera średzkiej konspiracji chowają bez fanfar na cmentarzu parafialnym w Środzie.

U schyłku życia Braun musiał się bronić, bo niektórzy krzywo patrzyli na to, że uszedł hitlerowskiemu katowi dzięki volksliście. Długo nie chciano go z tego powodu przyjąć do ZBoWiD-u.

„Nie wiem, czy źle zrobiłem, podpisując wniosek w obliczu śmierci, lecz

czasem żałuję, że wyroku nie wykonano, szczególnie obecnie, gdy mi się zarzuca odstępstwo od narodowości polskiej” – napisał krótko przed śmiercią. „Jestem jednak przekonany, że wielu będąc w podobnych warunkach, nie tylko by listę podpisało, ale [...] stałoby się szpiclami swego narodu. Czy mało to było, że siedem milionów Polaków zginęło, czy dlatego, że starałem się uciec od śmierci zadanej mi przez wroga, to już mam być potępiony? Przypuszczam, że wolno mi było starać się o uratowanie sobie życia, oraz męża i ojca rodzinie”.



TOKSYNY NUR FÜR DEUTSCHE

Franciszek Witaszek miał skrupuły. Czy w walce z wrogiem można sięgać po aż tak drastyczne metody?

Rankiem 8 stycznia 1943 roku spod celi nr 66 w Forcie VII – hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Poznaniu – ruszyło na stracenie 24 mężczyzn. Byli członkami konspiracyjnej organizacji Związek Odwetu zajmującej się produkcją broni bakteriologicznej i toksyn przeciw Niemcom. Na czele szedł najważniejszy z nich – lekarz Franciszek Witaszek. Według jednych zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła”, inni mówili, że „U drzwi Twoich stoję, Panie”.

Na podwórzu fortu do mężczyzn dołączyło sześć kobiet – łączniczek i laborantek. Niemcy poprowadzili ich do oświetlonego żarówką bunkra, gdzie czekały haki z linami zwisającymi spod sufitu. Przed śmiercią skazańcy dowiedzieli się, że niebawem zginą też ich rodziny.

Kilka miesięcy wcześniej Związek Odwetu przeprowadził najbardziej spektakularną akcję w swojej krótkiej historii. Doprowadziła ona do wściekłości niemieckie władze okupacyjne i postawiła na nogi całe gestapo.

ŚMIERĆ W KAWIE

Zaszyfrowana informacja, która wiosną 1942 roku przysłała z Paryża, postawiła na nogi poznańską komendę Armii Krajowej: do Poznania przyjedzie pięciu wysokich rangą oficerów Abwehry, będą w mieście tylko kilka dni, a potem pojedą na Wschód. Zapadła decyzja: zlikwidować.

Od razu zostają zaalarmowani wywiadowcy Związku Odwetu, którzy ustalają, że oficerowie są już w mieście i codziennie po pracy spotykają się w lokalu Café Sim przy Wilhelmstrasse (Aleje Marcinkowskiego). To ekskluzywna restauracja nur für Deutsche (tylko dla Niemców), w której pracują jako kelnerzy Stanisław Witkowski i Hieronim Schoepke, członkowie Związku Odwetu.

To oni mają zgładzić niemieckich oficerów za pomocą specjalnego preparatu dosypanego do kawy – zadziała on dopiero po pewnym czasie i spowoduje u każdego z nich zatrzymanie pracy serca.

Gdy pięć kaw czeka już na tacy do wniesienia na salę, kelnerzy wsypują do filiżanek śmiertelny proszek, ale nagle przy stoliku oficerów pojawia się trzech cywilów. Co będzie, jeśli oficerowie odstąpią im swoje kawy? Witkowski i Schoepke błyskawicznie zlewają kawę do dzbanka i niosą go na tacy z ośmioma filiżankami. Towarzystwo przy stoliku wypija śmiercionośny napój.

Następnego dnia umierają dwaj cywile, dzień później trzeci oraz jeden z oficerów Abwehry. To stawia na nogi poznańskie gestapo. Dla Niemców jest oczywiste, że nagłe zgony nie były przypadkiem. Sekcje zwłok nie przynoszą informacji o rodzaju środka uśmiercającego, ale gestapo szybko się orientuje, gdzie mógł zostać podany, i dociera do Café Sim. Gdy aresztują Witkowskiego i Schoepkego, umiera trzech kolejnych oficerów Abwehry.

Kelnerzy zostają poddani okrutnemu śledztwu. Schoepke obawia się, że nie wytrzyma – zażywa przemyconą do aresztu truciznę, ale ta nie działa. Podcina więc sobie żyły, jednak Niemcy są czujni i nie pozwalają mu umrzeć. Jeszcze nie teraz.

GESTAPO ZNAJDUJE FIOŁKI

Relację o tej sensacyjnej akcji przekazał potomnym Marian Schlegel, jedyny kelner tajnej grupy, który ocalał. Był też jedynym więźniem, któremu udało się uciec z poznańskiego Fortu VII. Zanim jednak zbiegł, intensywne śledztwo przyniosło gestapo nowe ustalenia.

24 kwietnia 1942 roku (według niektórych źródeł 25 kwietnia) Niemcy aresztują Franciszka Witaszka w jego gabinecie lekarskim przy Breslauerstrasse. Zabierają także jego żonę i cztery inne osoby. Wszyscy lądują w celach katowni gestapo w przedwojennym Domu Żołnierza. Z każdym dniem śledztwa gestapowcy wiedzą coraz więcej o Związku Odwetu. W ich ręce wpada kilkunastu kolejnych konspiratorów, wkrótce w więzieniu znajdzie się 35 osób – niemal cała siatka.

Gestapowcy znajdują w ich mieszkaniach tajemniczy proszek, 25 ołowianych rurek oraz podejrzane płyny w fiolkach. Bada je berliński Instytut Bakteriologiczny prof. Alberta Ponsolda, który rozpoznaje proszek

jako termit – składnik bomb zapalających, a ołowiane rurki jako obudowę zapalników do bomb termicznych – ładunków wybuchowych z opóźnionym zapłonem.

Dla gestapo staje się jasne, dlaczego w ostatnich miesiącach w drodze na front wschodni spłonęło kilkanaście wagonów z żywnością i bronią. Pożary wywołały podrzucane przez kolejarzy bomby termiczne, które podpalały wagony, gdy były już one daleko od Poznania. Dzięki temu pracownicy kolei pozostawali poza podejrzeniem.

Prawdziwy szok u Niemców wywołuje jednak dopiero ekspertyza płynów – to bakterie duru oraz wąglika!

ZWIĄZEK UDERZA TOKSYNAMI

Jak przebiegała poznańska wojna biologiczna z okupantem, do końca nie wiadomo. Brak o niej wiarygodnych informacji: wszystkich członków Związku Odwetu stracono, dokumenty ze śledztwa gestapo są skąpe, a poza tym oprawcy wymuszali zeznania torturami – nie wiadomo, na ile są one wiarygodne.

Jan B. Gliński w „Słowniku biograficznym lekarzy i farmaceutów ofiar drugiej wojny światowej”, powołując się na oświadczenie kilku żołnierzy poznańskiego AK, twierdzi, że nie ma dowodów na produkcję trucizn bakteryjnych w Poznaniu. Argumentuje, że do 1943 roku podziemie nie wykonało w mieście ani jednego wyroku śmierci.

Przeczy temu jednak raport gen. Stefana Roweckiego „Grota”, dowódcy ZWZ, wysłany już w połowie 1941 roku. „Grot” informuje Londyn o „wytypowaniu” przez dział bakteryjno-toksykologiczny Związku Odwetu kilkudziesięciu najrozmaitszych trucizn, których zastosowanie daje skutki dopiero po dłuższym czasie.

Potwierdza też stosowanie ich przeciw Niemcom. Toksyny i środki bakteriologiczne spowodowały 149 wypadków śmiertelnych wśród okupantów.

Nie ma pewności, w jakim zakresie ich używano, ale historykom udało się zrekonstruować historię Związku Odwetu.

SZCZEPY Z WARSZAWY

Kiedy w październiku 1939 roku okupanci rozstrzelują na rynkach wielkopolskich miast tysiące Polaków, w przyłączonym do III Rzeszy Poznaniu pojawia się podporucznik Czesław Surma „Blondas”, oficer Wojska Polskiego, który ma zorganizować dywersję.

Odwiedza młodego lekarza Henryka Günthera, który we wrześniu 1939 roku miał uczestniczyć w zakładaniu tajnych struktur dywersyjnych w Poznaniu. Günther otrzymuje zadanie – ma stworzyć zespół koncepcyjno-naukowy, który zorganizuje produkcję środków wybuchowych i trujących oraz wykorzysta je do walki z okupantem.

Surma i Günther pozyskują do pracy nad nimi Franciszka Witaszka – 31-letniego lekarza, przed wojną asystenta uniwersyteckiego zakładu mikrobiologii w Poznaniu. Nie jest on wojskowym – we wrześniu nie dostał karty mobilizacyjnej ze względu na wadę serca, ale działa już w tajnej poznańskiej organizacji Ojczyzna. „Nieprzeciętnie zdolny, błyskotliwie inteligentny, pomysłowy, energiczny” – charakteryzuje Witaszka „Słownik biograficzny lekarzy i farmaceutów ofiar drugiej wojny światowej”. Działacz harcerski, śpiewak w męskim chórze Echo. Z grupą współpracowników założył przed wojną firmę Catgut Polski, która produkowała nici chirurgiczne.

Witaszek dostaje od przełożonych zgodę na „sprawdzenie możliwości laboratoryjnych” do produkcji nowej broni.

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem 1940 roku do Poznania dwukrotnie przyjeżdża z Warszawy nieznana z nazwiska lekarka, przedstawicielka zakonspirowanego zespołu bakteriologicznego. Ma szkolić Witaszka i jego zespół, jak rozmnażać szczepy bakteryjne dostarczane ze stolicy.

Wkrótce Witaszek dostaje zadanie rozwinięcia produkcji środków wybuchowych, sabotażowych, bakteriologicznych i toksycznych. Na początku 1940 roku we współpracy z Güntherem oraz innymi lekarzami, farmaceutami, chemikami i laborantami w prywatnych domach członków związku organizuje sieć kilku tajnych laboratoriów. Produkowane są w nich m.in. środki toksyczne, substancja dodawana do paliw, która powoduje

uszkodzenie silników, oraz bomby zapalające.

W 1941 roku do grupy Witaszka dołączają laborantki – Helena Siekierska „Lusia” i Sonia Górzna „Sonia”. Ta druga wraz z narzeczoną i „Lusią” prowadzi tajne laboratorium chemiczne w mieszkaniu rodziców, którzy na polecenie władz konspiracyjnych podpisują volkslistę.

Latem 1941 roku w Poznaniu działa już sieć laboratoriów, a Siekierska – jedyna Polka zatrudniona w niemieckim Instytucie Mikrobiologii na Uniwersytecie Rzeszy – prowadzi tam w tajemnicy badania nad szczepami bakterii. Ogromnie ryzykując, wielokrotnie wynosi stamtąd szczepionki dla polskich dzieci.

KOGO I JAK TRUĆ?

To doktor Günther wpadł na pomysł zorganizowania grupy kelnerskiej, która podawałaby niemieckim oficerom specyfik powodujący opóźnioną w czasie śmierć. Przed akcją Witaszek jednak waha się, szuka moralnego alibi, rozmawia na ten temat z biskupem pomocniczym poznańskiej archidiecezji (po wojnie metropolitą poznańskim) Walentym Dymkiem.

„Gdy naród jest mordowany, musi się bronić wszystkimi możliwymi środkami” – słyszy od duchownego i wyzbywa się skrupułów.

Witaszek nie zgadza się jednak na propozycję zatrucia żywności w niemieckich magazynach. „Kradną z nich żywność Polacy. Dzieci polskie są osłabione i jeżeli dostaną zatrute owoce, będą masowo umierały” – argumentuje. Sprzeciwia się też zatruciu rannych żołnierzy niemieckich w szpitalach i pociągach wracających z frontu wschodniego. Uważa, że to niehumanitarne.

Mimo to podziemie podejmuje takie akcje. Zdaniem Mariana Woźniaka, autora „Encyklopedii konspiracji wielkopolskiej”, specjalne grupy Związku Odwetu jeździły w teren i wcierały szczepy bakteryjne w poręcze w niemieckich urzędach i w uchwyty w pociągach. Akcje były jednak nieskuteczne – niemieccy wojskowi, urzędnicy i członkowie NSDAP byli bowiem szczepieni.

Nie wszystkie opracowane przez Związek Odwetu toksyny są skuteczne.

Gdy aresztowany przez gestapo porucznik Stefan Schmidt zażył taką, która miała zadziałać natychmiast, przeżył. Odratowany i wyleczony został poddany ciężkiemu śledztwu.

PODZIEMIE TESTUJE TRUCIZNY

Wiele wskazuje na to, że działalność poznańskiej grupy nie wyszła poza fazę doświadczeń i testów. Zdaniem Woźniaka laboranci opracowali „pod względem teoretycznym” około 30 specyfików zabijających oraz instrukcje ich stosowania. Trucizn używano jednak sporadycznie – gestapo przypisało Związkowi Odwetu osiem śmiertelnych otruc Niemców. Prawdopodobnie toksyny nie miały być stosowane masowo.

– Nie sądzę, by planowano użycie tej broni na szeroką skalę. Wiązałoby się to z odwetem Niemców o skali trudnej do przewidzenia, na pewno niewspółmiernej do czynu – mówi Aleksandra Pietrowicz z poznańskiego IPN, autorka prac o konspiracji w Wielkopolsce. – Myślano raczej o uderzeniu tą bronią w konkretne osoby, np. z kierownictwa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Bardziej prawdopodobne było zastosowanie broni bakteriologicznej wobec zwierząt, zwłaszcza koni, które stanowiły ważny środek transportu Wehrmachtu. Najprawdopodobniej choroby koni przeznaczonych na front wschodni w stadninie w Gnieźnie wywołali właśnie poznańscy konspiratorzy.

Latem 1941 roku Związek Odwetu miał już kilkanaście zakonspirowanych laboratoriów oraz warsztatów i był gotowy do akcji na szeroką skalę. Plany udaremniły niespodziewane aresztowania i komendant wojskowy Zenon Pluciński wydał rozkaz zniszczenia laboratoriów.

Do wiosny 1942 roku, gdy nastąpi ponowna fala aresztowań, nie uda się ich już odbudować.

NIEMIECKA OFERTA

W maju 1942 roku Witaszek jest tak skatowany przez gestapo, że na jego

plecach widać wystające, zaropiałe kłykcie kręgosłupa. Nie ma siły wejść do samochodu, który przewozi go z Fortu VII do gestapo. Po dwóch tygodniach śledztwa Niemcy zwalniali jego żonę Halinę, która wraca do ich pięciorga małych dzieci.

Gestapo ustala, że Witaszek był kierownikiem naukowym badań prowadzonych przez Związek Odwetu, a Pluciński komendantem wojskowym i to jemu podlegała grupa kelnerów.

W połowie 1942 roku gestapo zna już cały skład osobowy Związku, bo w domu bliskiego współpracownika Witaszka śledczy znajdują spis członków grupy. Do końca kwietnia aresztują większość z nich.

Jesienią 1942 roku w Forcie VII pojawia się komisja Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy z Berlina. Witaszek niespodziewanie zostaje przewieziony na spotkanie połączone z obiadem. Gestapowcy podsuwają mu nęcącą propozycję: wolność, wyjazd i osiedlenie się z rodziną w dobrych warunkach w Niemczech w zamian za pracę dla III Rzeszy.

Prawdopodobnie chodzi o rewelacyjny środek o cechach antybiotyku odkryty przez Witaszka przed wojną. Zastosowany we wrześniu 1939 roku w szpitalu polowym nad Bzurą znacznie ograniczył śmiertelność wśród rannych. Doktor jednak odmawia.

AK próbuje przekupić prowadzących śledztwo gestapowców – w zamian za potężne łapówki Witaszek i jego ludzie mają trafić do obozu koncentracyjnego, a to daje szansę na ich ocalenie. Złudzenia pryskają w końcu 1942 roku, gdy zmienia się kierownictwo poznańskiego gestapo. Nowi dowódcy mają uprawnienia sądu doraźnego – po przejrzeniu akt witaszkowców zapada wyrok: kara śmierci!

W następnych tygodniach po egzekucji 70 osób z rodzin członków Związku Odwetu trafia do Auschwitz. Obóz przeżyli nieliczni. Dwie córki Witaszka – Alodia i Daria – oddane niemieckim rodzinom odnalazły się po długich poszukiwaniach w Niemczech pod koniec 1947 roku.

Na Franciszka Witaszka, Henryka Günthera i Helenę Siekierską zapadły po dwa wyroki śmierci – przez powieszenie i ścięcie. Niemcy skrupulatnie wykonali oba: ciała całej trójki zostały zdjęte z szubienicy i zgilotynowane, a ich głowy przekazane do instytutu medycyny sądowej w Poznaniu.

Umieszczone w płynie konserwującym przetrwały do 1945 roku, kiedy po zidentyfikowaniu 25 listopada zostały złożone w grobie na stokach poznańskiej Cytadeli.



WILKA, NIEMKA Z AK

Przysięgę składało się na krzyż. Na pewno był to moment bardzo uroczysty. Dostała pseudonim „Wilka”, bo tak w szkole nazywały ją koleżanki.

„*Mein Führer!* Pozwalam sobie prosić o łaskę dla mojej jedynej córki. [...] Pragnę nadmienić, że moja córka została wychowana w duchu niemieckim i narodowosocjalistycznym” – pisze do Adolfa Hitlera Marianne Günther, mistrzyni krawiecka z Poznania.

Jest maj 1944 roku, Berlin-Charlottenburg. Marianne Günther, z domu Bardzińska, określona w aktach gestapo jako „pół-Polka”, broni córki: „Uczyła się w niemieckiej szkole ludowej i należała do następujących stowarzyszeń: pływackiego, gimnastycznego i Związku Młodych Kobiet przy niemieckim kościele Franciszkanów. Właśnie podczas polskich czasów w naszej rodzinie agitowaliśmy za Niemcami. [...] Ponieważ moja córka zawsze czuła i uznawała się za Niemkę, chciałabym Pana prosić, *Mein Führer*, by ułaskawił Pan moją jedyną córkę i nie kazał jej odpokutować śmiercią za brak doświadczenia. Mój mąż jest chory i córka jest jedynym wsparciem dla naszej rodziny”.

Marianne Günther nakleja znaczek z Hitlerem za 8 marek. List zachował się w niemieckich archiwach.

WIELKIE PRZYJAŹNIE I MIŁOŚĆ

Jesień 1938 roku, Poznań. Rusza kolejny rok szkolny w Miejskiej Szkole Handlowej. 21-letnia Wilhelmine Günther, obywatelka polska narodowości niemieckiej, zamieszkała w kamienicy nr 6 (mieszkanie 7) na Piekarach, idzie do nowej szkoły. Być może po drodze wstępuje do kościoła niemieckich Franciszkanów, w którym modli się co niedziela wraz z rodzicami. Wcześniej uczyła się w niemieckiej Volksschule (szkoła ludowa) i niemieckim Gimnazjum Schillera, teraz po raz pierwszy zasiada w ławce z rówieśniczkami Polkami. Ojciec, mistrz krawiecki Wilhlem Günther, musi być dumny ze swojej jedynaczki: Szkoła Handlowa ma wszak renomę. Nie przeczuwa niczego złego.

W szkolnych ławkach Wilhelmine poznaje polskie koleżanki, z którymi już się nie rozstanie: Zofię Rapp, Zofię Cielecką i Gertrudę Leńską. Dziewczyny szybko przypadają sobie do gustu.

– To musiały być mocne przyjaźnie. Nie wciąga się do konspiracji osób, którym się nie ufa – przypuszcza Aleksandra Pietrowicz z poznańskiego IPN-u, specjalizująca się w badaniach konspiracji wielkopolskiej.

– Wilhelmine była moją koleżanką, znałam ją bardzo dobrze – wspomina Eugenia Florek, dziś mieszkanka Warszawy. – Urodziła się na Staszica 23, potem wyprowadziła się z rodzicami na Piekary 6. Spotykałyśmy się wielokrotnie. Wilka mówiła po polsku tak jak my. Tylko jej ojciec nie mówił po polsku, co mu wszyscy wokół mieli za złe.

Rok później, wrzesień 1939 roku. Niemcy wkraczają do Poznania. Nie wiemy, co dzieje się wtedy w domu Wilhelmine. Być może jej ojciec, żołnierz I wojny światowej, stoi wśród kilkuset poznańskich Niemców, którzy hałaśliwie witają niemieckie mundury na Starym Rynku.

Niemieckie władze zamykają polskie szkoły, ale Wilhelmine pielęgnuje przyjaźnie. Codziennie zagląda na Wildę, do mieszkania Zofii Cieleckiej na Świętego Czesława 16a.

– Wilhelmine czuła się tam bardzo dobrze. To był podobno bardzo ciepły, serdeczny dom, przyciągający ludzi – opowiada Pietrowicz.

W listopadzie 1939 roku rodzina Günther wnioskuje o wpisanie na volkslistę. To formalność, bo w Poznaniu mieszkają od 1923 roku na niemieckich paszportach i od zawsze uważają się za Niemców. Zachowało się podanie Wilhelmine. Dokument kończy się pozdrowieniem „*Heil Hitler!*”.

NIE ZDRADZIŁAM RZESZY

Pięć lat później Wilhelmine pisze inny wniosek – do Trybunału Ludowego w Berlinie. Prosi o łaskę. W szerokich liniach widać równe, czytelne pismo:

„Z aktu oskarżenia wynika, że zostałam [...] zwerbowana do organizacji wywiadowczej. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie uczestniczyłam aktywnie w całej sprawie. Nie zgodziłabym się nigdy zdradzić Rzeszy Niemieckiej. [...] Zawsze przyznawałam się do mojej niemczyzny i nigdy nie zaprzeczyłam, że jestem Niemką”.

Imię w podpisie Wilhelmine ma poprawione dwie litery – być może dziewczynie zdrząła wtedy ręka.

PO STRONIE PRZEŚLADOWANYCH

Znowu Poznań, rok 1940. Wilhelmine jeszcze niczego nie przeczuwa. Pracuje jako maszynistka w Urzędzie Finansowym. Mieszka z rodzicami na Bäckerstrasse (tak teraz nazywają się Piekary). Po pracy spotyka się ze swoim ukochanym Antonim Jagłą, zatrudnionym w Deutsche Waffen- und Munitionsfabrik (niemieckiej fabryce amunicji w dawnym Cegielskim). Antoni to sąsiad Wilhelmine: on mieszka pod szóstką, ona pod siódmką.

Choć młodzi chodzą ze sobą od dwóch lat, nie mogą się pobrać. Wszelkie kontakty Niemek z Polakami – słowiańskimi „podludźmi” – są od niedawna surowo zabronione.

Wilhelmine i Antoni nie chcą się z tym pogodzić. Antoni doszukuje się w rodzinie niemieckich przodków. We wrześniu 1941 roku jadą razem do Rechlinghauen, by zdobyć dokumenty, które dadzą Antoniemu niemieckie obywatelstwo, a tym samym pozwolą im się pobrać.

– Nie wiem, na ile to jest zgodne z prawdą, ale z akt gestapo wynika, że Antoni miał jakąś rodzinę w Niemczech i miał nadzieję, że dzięki temu uzyska zgodę niemieckiego urzędu na poślubienie Wilhelmine – zauważa Aleksandra Pietrowicz.

Szczęście kończy się nagle w połowie grudnia 1941 roku. Na Wilhelmine spada cios: 15 grudnia jej narzeczony – świętujący właśnie 30. urodziny – zostaje aresztowany. Według polskich źródeł był to skutek denuncjacji ojca Wilki.

– Był jakiś konflikt między Wilhelmine a jej ojcem – komentuje Pietrowicz. – Na pewno ojciec nie akceptował miłości swojej córki do Antoniego. Być może uważał, że to dla niej niebezpieczne?

Inna wersja, bardziej prawdopodobna: związek Antoniego z Wilką zadenuncjował Edward Rataj, konfident gestapo z zakładów Cegielskiego. – Miał donieść na Antoniego, że opuścił kilka dni pracy w Cegielskim. Być może chodziło o wyjazd Antoniego z Wilhelmine do Niemiec, kiedy starali

się zdobyć dokumenty, niezbędne do przyszłego ślubu – mówi Aleksandra Pietrowicz.

Antoni trafia do Auschwitz, a Wilhelmine znajduje się w trudnej sytuacji. Zostaje oskarżona o „zhańbienie rasy” – jest bowiem w ciąży z Polakiem. 15 sierpnia 1942 roku rodzi córeczkę Marię, ale dziecko wkrótce umiera.

Niespełna miesiąc później – kolejny cios: 7 września w obozie koncentracyjnym w Auschwitz ginie Antoni. Ale to jeszcze nie koniec. Za utrzymywanie zakazanych dla Niemki kontaktów z Polakiem Wilhelmine idzie do aresztu. Trzy tygodnie siedzi na Młyńskiej. Wraz ze śmiercią dziecka i ukochanego mężczyzny całe jej życie bierze w łeb.

– Tragiczne wydarzenia musiały być przełomem w życiu Wilhelmine. Wtedy wybrała stronę prześladowanych – uważa Aleksandra Pietrowicz.

„WILKA” PRZYSIĘGA NA KRZYŻ

Już pod koniec 1941 roku Wilhelmine nawiązuje kontakt ze szkolną koleżanką Zofią Rapp – teraz łączniczką wywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej. Rapp kursuje jako Marie Springer (agent o pseudonimie Y-20) między Warszawą a Poznaniem (via Berlin, dla niepoznaki). Dostarcza i przekazuje w drugą stronę informacje dla Związku Walki Zbrojnej, który z czasem przekształci się w Armię Krajową.

Luty 1942 roku. Wacław Ławrentjew, z pochodzenia Rosjanin, przedwojenny podoficer 58. Pułku Piechoty i członek „Białych Rosjan”, który mieszka na papierach bezpaństwowca u Cieleckich, tworzy w Poznaniu siatkę wywiadowczą S-VII. „Rodowita Niemka” Marie Springer zapewnia grupie łączność z Komendą Główną AK w Warszawie. S-VII zbiera informacje od Polaków zatrudnionych w niemieckich zakładach zbrojeniowych na terenie Poznania – przede wszystkim w Deutsche Waffen- und Munitionsfabrik (Cegielskiego). W DWM Niemcy produkują m.in. karabiny maszynowe, armatki lotnicze, odlewy do maszyn amunicyjnych, łuski armatnie i karabinowe. Centrala wywiadu AK w Warszawie jest zadowolona z informacji i żąda więcej.

Siatka S-VII działa sprawnie. Zofia Cielecka przyjmuje w swoim

mieszkańcu na Wildzie meldunki, szyfruje je i przekazuje kurierkom z Warszawy.

Drugi punkt kontaktowy znajduje się w mieszkaniu Wilhelmine. Kurierki AK – Zofia Rapp i Zofia Kalinowska – często nocują w mieszkaniu Güntherów. Dawne szkolne koleżanki Wilhelmine nie wzbudzają podejrzeń jej rodziców.

– Od stycznia 1942 roku w Warthegau obowiązywało nowe, drakońskie prawo karne dla Polaków i Żydów. Znane już były przypadki okrucieństwa gestapo wobec osób, które wpadły. To już nie była żadna gra, zabawa. Wilhelmine musiała wiedzieć, w co się angażuje – uważa Pietrowicz.

Zimą 1942 roku Wilhelmine składa przysięgę żołnierza Armii Krajowej. – Z jej zeznań wynika, że specjalnie pojechała z Zofią Rapp na przysięgę do Warszawy. Być może została też wtedy przeszkolona – opowiada Aleksandra Pietrowicz. – Jak wyglądała przysięga? Harcerze Szarych Szeregów składali ją na zerwanych flagach hitlerowskich, przy zapalonych świecach. Przysięgę Armii Krajowej składało się na krzyż. Na pewno był to moment bardzo uroczysty.

Wilhelmine dostaje pseudonim „Wilka” (tak już w szkole „ochrzciły” ją koleżanki). Miesiąc po przysiędze, w marcu 1942 roku, zmienia pracę i zatrudnia się w policyjnym Związku Koleżeńskim (Kameradschaftsbund) w Poznaniu. Pracuje jako urzędniczka, zarabia 100 marek.

– Ta zmiana pracy to nie przypadek. Zapewne zatrudniła się tam na zalecenie Ławrentjewa – przypuszcza Pietrowicz.

Wilhelmine dostarcza S-VII informacje o nastrojach w niemieckiej policji. – Jej rola w organizacji była znacząca, choćby z racji miejsca swojej pracy. Mogła tam zdobywać cenne informacje. Była przecież młoda, atrakcyjna, łatwo nawiązywała znajomości. A poza tym jej mieszkanie było skrzynką kontaktową, w którym nocowały kurierki z Rzeszy – ocenia Pietrowicz.

WSYPA, ALE WILHELMINE MA NADZIEJĘ

Maj 1943 roku. W ręce Niemców wpada szef ekspozytury zachodniej wywiadu AK, kapitan Karol Trojanowski. Przechodzi na stronę gestapo

i zdradza nazwiska i kontakty. W czerwcu w pociągu w Kutnie wpada Zofia Kalinowska, jedna z kurierek z Warszawy. W walizce z podwójnym dnem Niemcy znajdują materiały polskiego wywiadu. W końcu października do mieszkania Güntherów zagląda dwóch gestapowców. Pytają Wilhelmine o „Aleksandra”.

– Nie znam żadnego Aleksandra – odpowiada Wilhelmine.

I natychmiast po wyjściu tajniaków wyrusza do Ławrentjewa, by go ostrzec.

Mimo to gestapo wyłapuje wszystkich konspiratorów. Po Wilhelmine przychodzi 3 listopada 1943 roku. Zabierają ją razem z matką. Zarzuty: udział w grupie S-VII i pomoc w nocowaniu na Piekarach łączniczek organizacji, a także próba ostrzeżenia jej szefa. Potem dojdzie jeszcze jeden: organizowanie niemieckich kartek ubraniowych dla Polaków.

Tajniacy zawożą Wilhelmine i matkę do Domu Żołnierza – siedziby gestapo. Dziewczyna trzyma się dzielnie. Odmawia zeznań, liczy na szczęśliwy finał. W aktach śledztwa gestapo nazywa Wilhelmine „najbliższą współpracownicą Ławrentjewa”. Ponieważ Wilhelmine i jej matka są obywatelkami III Rzeszy, gestapowcy wyłączają ich sprawy do odrębnego postępowania. Wiożą Wilhelmine i matkę do więzienia w Lipsku.

Kwiecień 1943 roku. Na korytarzu pociągu więziennego z Berlina do Lipska Wilhelmine i jej matkę spotyka inna uwięziona członkini S-VII Gertruda Leńska. „Wilka poinformowała mnie, że przyznała się do stawianych jej zarzutów” – wspominała po latach. – „Była beztroska i pełna wiary, że wojna skończy się lada dzień i że odzyskamy upragnioną wolność. W upominku wręczyła mi miniaturowy różaniec z chleba, w maleńkiej pochewce z materiału w postaci serca”.

Pietrowicz: – Podczas przesłuchań Wilhelmine pomniejszała swoją rolę. Mówiła, że pomagała koleżankom ze strachu, że bała się zemsty w przypadku zerwania z organizacją. Wiadomo, w śledztwie mówi się różne rzeczy, żeby się ratować.

KOCHANY OJCZE, DLACZEGO NIE PISZESZ?

Więzienie w Berlin-Plötzensee, 11 marca 1944 roku. Wilhelmine pisze swoim wiecznym piórem list do ojca. „Kochany ojciec, mijają już dwa miesiące, jak napisałam do Ciebie. Nie otrzymałam jednak od Ciebie do dziś ani słowa. Jestem z tego powodu niespokojna. Mama też nic od Ciebie nie słyszała. Czy jesteś chory, czy może twoja praca tak cię angażuje, że nie możesz choć raz napisać mi parę słów, czy może masz inny powód, że milczysz? Proszę Cię, nie rób mi tego, a przede wszystkim nie rób tego mamie [*der Mama* – cyt.], ponieważ bardzo przez to cierpi. Nie wiem, czy masz wyobrażenie, o co się nas oskarża. Mogę cię jednak zapewnić co do jednego: mama nie jest ani trochę winna [zdanie podkreślone]. Wina leży po mojej stronie”.

Choć Wilhelmine prosi ojca o odpowiedź, zdaje sobie sprawę, że ojciec jej nie odpowie. „Jeśli nie możesz się zdecydować, aby wysłać nam wiadomość, to może napisałyby do nas ciocia H. albo Marta, abyśmy miały jasność, co się dzieje w domu [...]” – proponuje. – „Mama i ja jesteśmy jak dotąd zdrowe. Przed czterema tygodniami przeżyłyśmy ciężki nalot bombowy na Lipsk, ale – Bogu niech będą dzięki – nie oberwałyśmy. Mam nadzieję, że Bóg was przed tym ochroni!”.

SĄD: WINNA ZDRADY STANU!

Krawiec Günther musiał otrzymać ten list jeszcze w marcu 1944 roku. Raczej nie wysłał córce i żonie proszku do prania, pasty do zębów i białego kremu do butów, o które prosiła Wilhelmine – było to zabronione. Zapewne długo bił się z myślami, co robić. Być może za długo, a może nie miało to już żadnego znaczenia.

26 kwietnia 1944 roku zbiera się Trybunał Ludowy w Berlinie – najwyższy sąd nazistowskich Niemiec. Sąd orzeka: Wilhelmine Günther świadomie uczestniczyła w „nielegalnej polskiej organizacji szpiegowskiej”.

„Jej zachowanie jest zrozumiałe choćby z tego względu, że nie dość mocno poczuwała się do swojej niemieckości, lecz od wielu lat okazywała sympatię dla polskość, co pokazuje jej długoletni związek miłosny z Polakiem Jagłą i jej przyjaźń z Polkami Rapp i Cielecką, ukochaną Ławrentjewa” –

uzasadniają nazistowscy sędziowie.

I ogłaszają wyrok: Wilhelmine Günther winna zdrady stanu! Kara śmierci oraz przepadek praw honorowych!

Wyznaczają datę egzekucji: 9 czerwca, godzina 13!

Matka Marianne zostaje uniewinniona. Trybunał uznaje, że nie miała wiedzy o szpiegowskiej działalności córki.

OJCIEC: MOJE SERCE KRWAWI

Nie wiemy, jak Wilhelmine przyjęła wyrok. Prawdopodobnie była w szoku – wcześniej łudziła się, że ocali życie.

Ojciec Wilhelmine złamał się dopiero cztery dni przed egzekucją córki. Siadł do stołu w opustoszałym mieszkaniu przy Bäckerstrasse i napisał do prezydenta Trybunału Ludowego w Berlinie.

„Proszę jako cierpiący ojciec, który czuje prawdziwie po niemiecku i zamierza w wieku 57 lat zachować dla siebie i żony młode życie mojego jedyne dziecko. Moje serce krwawi gorzkim bólem [...]. Tak młode życie ludzkie być może popełniło błędy, ale nigdy motywy tych działań nie były przestępcze. Co do tego jestem, znając Wilhelmine, całkowicie pewien” – uzasadnia ojciec. I bierze część winy na siebie: „Moje 27-letnie małżeństwo nie było od początku całkiem szczęśliwe; z tego powodu dałem mojej jedynej córce trochę za wiele swobody, tak że jako młoda, niedoświadczona dziewczyna została wciągnięta przez szkolną koleżankę w tę smutną aferę. Tylko z powodu całkowitego braku doświadczenia i nieśmiałości znalazła się całkowicie pod wpływem koleżanki i przyjaciółki rosyjskiego współnika”.

Wilhelm Günther dorzuca jeszcze zdanie o latach swojej nienagannej służby w regimencie piechoty w Metz i na froncie I wojny światowej. „Cała moja rodzina jest czystej krwi niemieckiej i prawdziwymi Niemcami. Heil Hitler!” – kończy z nadzieją.

Ale jego list niczego już nie zmieni.

OSIEM SEKUND

Więzienie w Berlin-Plötzensee, piątek 9 czerwca 1944 roku. Godzina 13.02. Wilhelmine Günther jest spokojna i opanowana, kiedy dwaj funkcjonariusze więzienni krępują jej ręce na plecach. Klawisze podprowadzają ją przed oblicze kata Röttgera. Kierownik egzekucji Klüver ustala zgodność danych personalnych Wilhelmine, a potem zleca wykonanie wyroku.

Wilhelmine Günther bez oporu pozwala położyć się na gilotynie.

Kat uruchamia ostrze.

Z protokołu egzekucji: „Wykonanie wyroku od wprowadzenia skazanej do ostatniego meldunku kata trwało 8 sekund”.

Z pisma do zarządu Trybunału Ludowego; „Stracona 9 czerwca 1944 Wilhelmine Günther pozostawiła w tutejszym więzieniu następujące rzeczy:

- 1 płaszcz,
- 1 suknia,
- 1 biustonosz,
- 1 gorset,
- 7 rękawików,
- 1 pasek,
- 1 para butów,
- 1 para rajstop,
- 1 para rękawiczek,
- 2 szale,
- 1 kołnierzyk [...].

Wcześniej do depozytu tutejszego więzienia przekazane zostało 35 Reichsmarek 57 fenigów jej własnych pieniędzy, 1 pióro wieczne, jak również 1 ołówek. Wilhelmine Günther wyraziła przed śmiercią wolę, by spuściznę po niej przekazać jej matce [...].”

Trzy dni później głowę pod gilotynę w Brandenburgu kładą czterej inni członkowie S-VII, wśród nich Wacław Ławrentjew.

RZADKI PRZYKŁAD ODWAGI

Nie wiadomo, gdzie pochowano Wilhelmine. Małżeństwo Güntherów nie

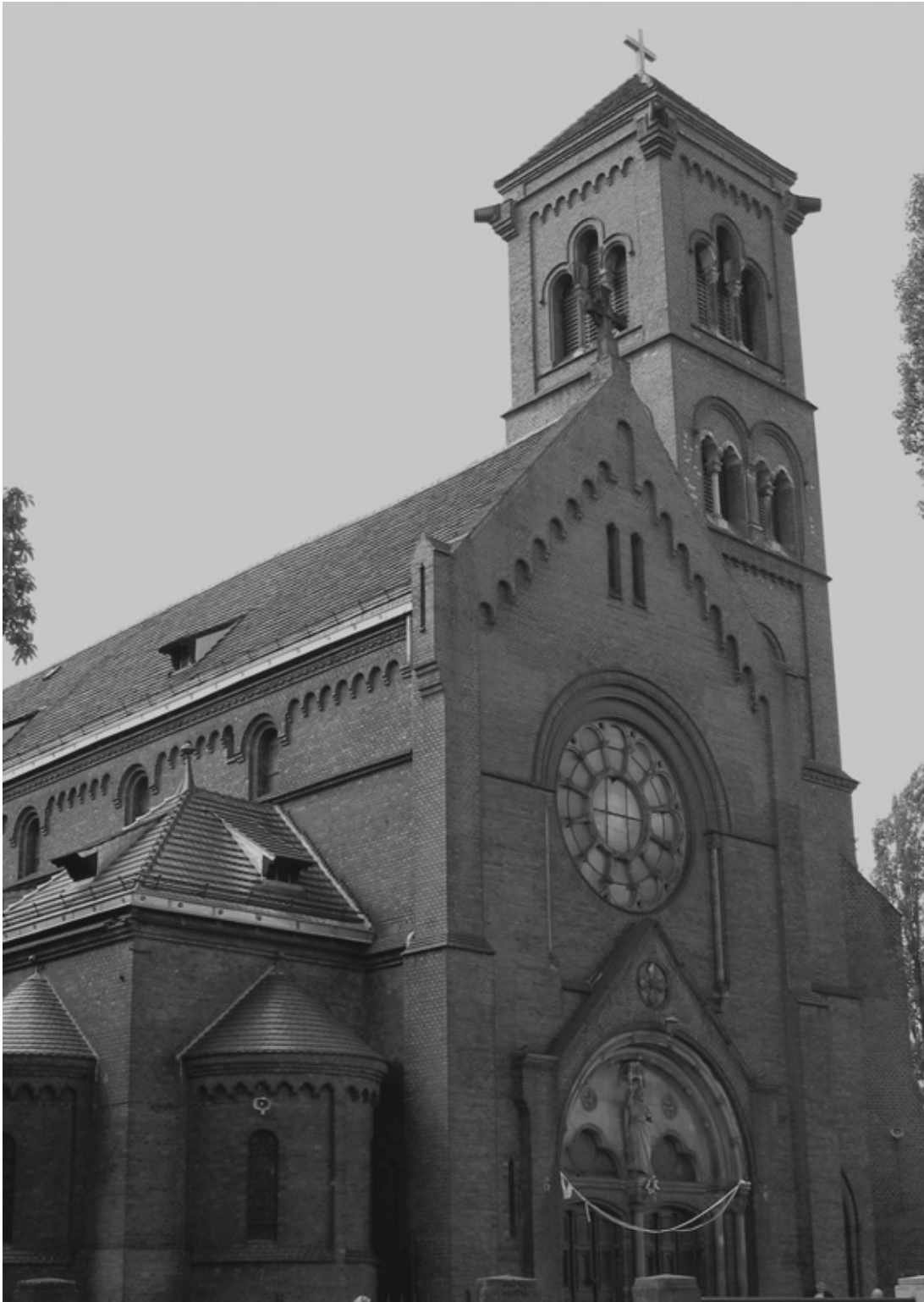
przetrwało śmierci córki.

– Mama Wilki została po wojnie w Poznaniu. Wiele razy widziałam ją z moją mamą w ogródku na Wisłowej (Ławica). Ojciec Wilhelmine wyemigrował do Niemiec i – zdaje się – zmarł wcześniej niż Marianna Günther. Mama Wilhelmine miała do męża pretensje, że nie starał się wydobyć córki z więzienia. Sugerowała też, że niemieccy lekarze w szpitalu „pomogli” umrzeć córeczce Wilhelmine i Antoniego. Ile w tym prawdy, nie wiadomo – opowiada Eugenia Florek, koleżanka Wilhelmine.

Po kamienicy, w której mieszkali Güntherowie, nie ma dziś śladu – została zniszczona w czasie walk o Poznań zimą 1945 roku. Po wojnie ruiny po zachodniej stronie Piekar rozebrano, dziś jest tam parking.

Jesienią 2007 roku na Piekary zajrzeli uczniowie z V Liceum im. Klaudyny Potockiej i niemieckiego Oberlin-Seminar. W ramach projektu „Między dwoma światami”, wspieranego przez niemiecką Fundację Pamięć i Przyszłość (upamiętnia osoby, które sprzeciwiały się faszyzmowi), poszli śladami Wilhelmine. Zobaczyli m.in. Dom Żołnierza, w którym w latach okupacji urzędowało gestapo. Projekt wymyśliła i zdobyła na niego pieniądze Małgorzata Wiater, germanistka z V LO.

Niemieckich uczniów przywiózł Klaus Leutner, nauczyciel z Berlina: – Ojciec Wilhelmine był Niemcem, matka Polką. Wilhelmine musiała się opowiedzieć po którejś ze stron. Wybrała Polskę – przeciw Hitlerowi. To ważny dla dzisiejszych czasów przykład cywilnej odwagi.



SZATAŃSKIE CHWYTY

Pomodlili się, a potem Zdzich przekręcił klucz w zamku. Suchy trzask i tabernakulum otwarte.

Późnym wieczorem 15 grudnia 1941 roku z ciemnego kościoła św. Floriana na poznańskich Jeżycach wyszły trzy osoby w długich prochowcach. Po chwili przyłączyły się do nich dwie zakochane pary i cała siódemka szybko zniknęła w gęsto padającym śniegu.

Następnego dnia pod kościół zajechały czarne limuzyny. Wyskoczyli z nich niemieccy tajniacy w skórzanych płaszczach. Na ich twarzach malowała się złość.

ZGRANA PACZKA I WOJNA

– To nie było żadne bohaterstwo. Dla nas, ministrantów, to była normalna rzecz – mówi Zdzisław Jaskólski. Siedzimy w trójkę w przytulnym mieszkaniu na Łazarzu. Dwaj starsi, siwi panowie częstują mnie drożdżówkami. Są trochę skrupowani. – Tylko niech nas pan nie przechwali – prosi Bolesław Lipowczyk.

Przed wojną przy kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa i św. Floriana na Jeżycach działało koło ministrantów. Chłopcami opiekował się wikariusz ks. Stefan Wiśniewski. Wspólnie organizowali wypadki za miasto, jeździli na wycieczki, oglądali filmy. Latem 1939 roku w ministranckiej grupie byli: 13-letni Bolesław Lipowczyk, nieżyjący już dziś Władek Zięta (rocznik 1923) i Maryś Nagórski (ur. w 1926 roku).

Wojna zmieniła życie chłopców. Niemcy wywieźli ich wikariusza do Generalnej Guberni. We wrześniu 1941 roku ojciec Bolesia za wydawanie chleba bez kartek dostał rok więzienia. Bolesław przejął piekarskie obowiązki i tak jak ojciec pomagał tym, którzy nie mieli kartek na chleb. Rodzinę Ziętów Niemcy wywieźli do Krakowa. Władkowi udało się uciec – schronił się u Bolesia. Potem Władek dorabiał sobie jako goniec przy parafii, a następnie na poczcie przy ul. Głogowskiej. Wysiedlenia nie uniknął też Maryś. Wraz z rodziną musiał się przenieść z Jeżyc na Głogowską. Pracował wtedy jako malarz u jednego z Niemców.

Ministrantami zaopiekował się ks. Kazimierz Biegański. Chłopcy tworzyli

zgraną paczkę. Wkrótce dołączyły do nich dwie dziewczyny z Krucjaty Eucharystycznej: Zosia Tomaszewska i Henia Nowicka. „Spotykaliśmy się na spacerach, pieszych wędrówkach, a najczęściej w mieszkaniu u Lipowczyków, w naszej okupacyjnej przystani” – wspominała w wydanym przed ośmioma laty okolicznościowym wydawnictwie Zofia Tomaszewska.

Władysław Zięta: „Na początku 1940 roku dołączył do nas Zdzich Jaskólski, wysiedlony z rodzicami z mieszkania na Łazarzu do mieszkania na ul. Staszica. [...] I żaden z nas nie przeczuwał zdarzeń nam przypisanych”.

SZOK, TŁOK I POMYSŁ

W poniedziałek 6 października 1941 roku poznaniacy przeżywają szok: Niemcy zamykają prawie wszystkie kościoły w mieście. Większość księży wywożą do obozów koncentracyjnych, najczęściej do Dachau. Polscy katolicy z ponad 270-tysięcznego Poznania mogą odtąd modlić się tylko w dwóch świątyniach: św. Wojciecha oraz Matki Boskiej Bolesnej na Łazarzu.

– Dla naszej grupy był to potworny wstrząs – wspomina Bolesław Lipowczyk. W pierwszą niedzielę po zamknięciu kościołów wybrał się wraz z Władkiem Ziętą na mszę do św. Wojciecha: – W kościele potworny tłok. Nie potrafiłem się modlić, przyzwyczajony do luksusowych warunków ministranta w prezbiterium kościoła jeżyckiego.

W drodze powrotnej chłopcy postanawiają, że skontaktują się z ukrywającymi się księżmi. Poproszą ich, aby ci odprawiali msze w jeżyckich domach. Kilkanaście dni później w domu Lipowczyków przy ul. Mylnej 1 (obecnie Romka Strzałkowskiego) pojawia się ks. Ignacy Zając. Przynosi tylko białą stułę. Mszę odprawia więc w cywilnym ubraniu. – Talerzyk jako patena, szklanka jako kielich... To nas rozdrażniło – przyznaje Lipowczyk.

KLUCZ DO SUKCESU

– W trakcie rozmowy ni stąd, ni zowąd padło pytanie: „A może by tak wejść do naszego kościoła i wynieść trochę szat i bielizny liturgicznej?” – opowiada Lipowczyk.

Podczas gorących dyskusji Władek, Maryś i Bolesław dopracowują szczegóły akcji. Postanawiają dostać się do świątyni przez zakrystię. Ustalają, że na latarki założą przysłony, ograniczające rozbłysk światła. Ornaty, komże i alby założą na siebie pod luźne płaszcze.

W swój plan wtajemniczają tylko matkę Bolesia i jej gospodynię.

Najpierw muszą dorobić klucz do zakrystii. – Pierwszy odcisk profilu zamka zrobiliśmy z kawałka ciasta. Schowane do kieszeni, urosło. Odcisk zmienił więc swój rozmiar – relacjonuje z zawadiackim uśmiechem Lipowczyk.

– Tu wyszła cała młodzieńcza głupota – śmieje się Jaskólski.

Później idzie już bardziej profesjonalnie. Maryś Nagórski przynosi z pracowni malarskiej kit, który pozwoli Bolesławowi w piekarni wiernie odtworzyć wymiary zamka. – Kiedy w piekarni zrobiło się pusto, podgrzałem pręt w palenisku, a potem rozkułem go na płasko i zagiąłem pióro... – opowiada Lipowczyk.

– Bolesław, nie ucz złodziejskiego fachu! – żartuje Jaskólski.

– ...Był to raczej wytrych, nie klucz. Obróbka pilnikiem według odcisku na kicie była trudna, bo nie miałem imadła – ciągnie Lipowczyk.

Pierwsza próba wejścia do kościoła nie udaje się: klucz nie mieści się w zamku. Zamek zakrystii kapituluje dopiero przy czwartym podejściu, 15 października 1941 roku wieczorem, po kolejnych dwóch dniach obrabiania klucza pilnikiem przez Marysia.

Chłopcy nie zauważają jednak sukcesu – przekonani o kolejnym niepowodzeniu wracają do domów.

16 października 1941 roku zaskoczenie! Drzwi zakrystii są uchylone! – Mieliśmy stracha! Dwadzieścia metrów dalej, w budynku na zapleczu, był hotel, w którym mieszkali niemieccy urzędnicy – opowiada Bolesław Lipowczyk.

„Gdy po godzinie obserwacji nikt z kościoła nie wyszedł, Maryś zamknął drzwi naszym kluczem i ustaliliśmy, że jutro, w poniedziałek 17 listopada

1941 roku, wchodzimy do wnętrza i rozpoczynamy akcję” – wspominał przed laty Władysław Zięta.

DZIEWCZYNY DLA OSŁONY

Przez trzy kolejne ciemne wieczory w trójkę wchodzi do kościoła. – Na początku wynosiliśmy drobiazgi. Na siebie nakładaliśmy ornaty, podwiązując je w pasie, a na ornaty długie prochowce – relacjonuje Lipowczyk.

Chłopcy szybko jednak dochodzą do przekonania, że jest ich za mało i grozi im wsypa. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że wychodząc z kościoła, przy drzwiach nie natkniemy się na Niemców? Musiał więc nas ktoś ubezpieczać – wyjaśnia Lipowczyk.

„Włamywacze” wtajemniczają w sprawę Zdzicha Jaskólskiego i jego kolegę ze szkolnej ławy, Włodula Cejrowskiego. Ten pierwszy proponuje fortel.

„Pewnego dnia Maryś Nagórski w wielkiej tajemnicy poinformował mnie, że powstał plan uratowania szat i bielizny kościelnej i potrzebne są dziewczyny dla osłony” – wspominała w 1991 roku Henryka Nowicka. „Według planu [...] byłam potrzebna wraz z Henią Nowicką, aby z chłopcem chodzić jako para wokół kościoła i gwizdaniem umówionej piosenki dawać znać, że teren jest czysty i można wychodzić z kościoła przez zakrystię” – relacjonowała druga „zakochana”, Zofia Tomaszewska.

W jesienne wieczory 1941 roku pod kościołem św. Floriana coraz częściej pojawiają się dwie zakochane pary. Boles prowadzi pod rękę Zosię, a Włodul Henię.

– Akurat wtedy Boles faktycznie chodził z Zosią, więc wszystko grało – śmieje się Zdzisław Jaskólski.

– Jak się razem szło, to tak niby cacy-cacy, a tak naprawdę ciągle lustrowaliśmy teren – opowiada Lipowczyk. – Z hotelu za kościołem co rusz wychodził jakiś Niemiec, ale widząc młodych zakochanych, niczego nie podejrzewał.

„W pamięci mojej pozostały wieczory niebezpieczne, gdy jasno świecił

księżyc i gwiazdy i byliśmy za bardzo widoczni” – wspominała w 50. rocznicę „włamań” Tomaszewska.

Do kościoła wchodzi teraz Władek, Maryś i Zdzych. – Gdy Niemcy kręcili się wokół kościoła, gwizdana melodia ustała, co wskazywało na niebezpieczeństwo. Uciekliśmy wówczas między nawy, do konfesjonału, jeden chyba wylądował na chórze – przypomina sobie Jaskólski.

W ciągu dziesięciu–dwunastu „włamań” chłopcom udaje się wynieść ze świątyni ornaty, bieliznę, alby, komże, bieliznę kielichową i około 40 butelek wina mszalnego. Nie udaje się ocalić kielichów – zabrali je Niemcy, gdy zamknęli kościół.

Sprzęty liturgiczne ministranci chowają po mieszkaniach swoich znajomych. Tą częścią akcji kieruje Władek Zięta.

MARYŚ ZABIERA SIĘ DO PRACY

W czasie jednego z „włamań” do kościoła chłopcy postanawiają: Trzeba też uratować Najświętszy Sakrament!

Ministranci obawiają się, że Niemcy mogą go zbezczęścić. Przed chłopcami pojawia się jednak poważny problem techniczny: solidne zamki tabernakulum. Nieoceniony Maryś znowu zabiera się do pracy.

Po kilku dniach klucz jest gotowy. 15 grudnia 1941 roku około godz. 18 wieczorem siódemka młodych konspiratorów zbliża się do kościoła św. Floriana. Do środka tradycyjnie już wchodzi Zdzych, Maryś i Władek. A na zewnątrz spacer po raz kolejny rozpoczynają „zakochani”.

Zamek w tabernakulum nie poddaje się łatwo. Pierwsza próba otwarcia, podjęta od tyłu ołtarza, nie powiodła się. Ministranci próbują więc otworzyć przednie drzwiczki.

– Krótka modlitwa u stopni ołtarza, a potem dano mi klucz do ręki. Włożyłem i przekręciłem go jak w normalnym zamku. Przeżyłem szok – opisuje Jaskólski.

Sanctissimum wyniesiono z kościoła z zachowaniem wszelkich rygorów kanonicznych. „Nie możemy brać puszek, gdyż Niemcy zauważyliby to. [...] Poszedłem po kartoniki od komunikantów, które wyłożyłem puryfikatorem.

Przełożyliśmy komunikanty, a do oczyszczonych puryfikatorem puszek włożyliśmy komunikanty niekonsekrowane” – opisywał akcję podmienienia komunikantów Władek.

– To były szatańskie chwytły! – śmieje się Jaskólski.

– Była godzina 19.30. Gdy wyszliśmy, padał gęsty śnieg, który zatarł nasze ślady – opowiada Lipowczyk.

Władek Zięta przenosi Najświętszy Sakrament do mieszkania Lipowczyków. Przez całą noc adorują go wtajemniczeni mieszkańcy domu. Następnego dnia Władek i Bolesława przenoszą Sanctissimum do ukrywającego się w domu przy ul. Dąbrowskiego 45 oblata ks. Władysława Szymurskiego. Kapłan jeszcze tego samego dnia wieczorem przekazuje hostie księdzu proboszczowi Zygmuntovi Droszczowi z kościoła św. Wojciecha.

PALEC BOŻY

Kiedy Władek i Bolesława niosą Sanctissimum do księdza Szymurskiego, pod kościół św. Floriana z piskiem opon zajeżdżają czarne limuzyny. Wyskakują z nich odziani w skórzane płaszcze niemieccy tajniacy. Są wściekli, że ktoś wystrychnął ich na dudka. Rozpoczyna się intensywne śledztwo.

„Chodzili po terenie cmentarnym, a później obserwowali w godzinach wieczornych kościół i wypytywali okolicznych mieszkańców” – wspominał Władysław Zięta.

Gestapowcy przesłuchują m.in. kościelnego Juliusza Strzyżyńskiego. Nie wpadają jednak na żaden trop.

Uczestnicy wypraw do kościoła św. Floriana są zgodni, że w 1941 roku czuwała nad nimi Opatrzność Boża. Lipowczyk podkreśla: – Przez całe moje życie po 1941 roku czułem nad sobą czyjąś opiekę. Przez całą wojnę nie straciłem nikogo z rodziny, a ojciec wrócił z więzienia.

W grudniu 1941 roku o pomyślnej akcji jeżyckich ministrantów dowiaduje się arcybiskup Walenty Dymek. Na Ostrów Tumski jadą Władek Zięta i Maryś Nagórski. Arcybiskup jest pod wielkim wrażeniem – na pożegnanie kładzie dłonie na głowach chłopców i odprowadza ich do drzwi.

Po wojnie ocalone sprzęty liturgiczne wracają do kościoła na Jeżycach.

MILCZELI PÓŁ WIEKU

Końca wojny nie doczekał Włodzimierz Cejrowski, członek Szarych Szeregów. Został aresztowany przez gestapo we wrześniu 1943 roku. Zginął rok później w obozie zagłady w Schloss Wartheim w Austrii.

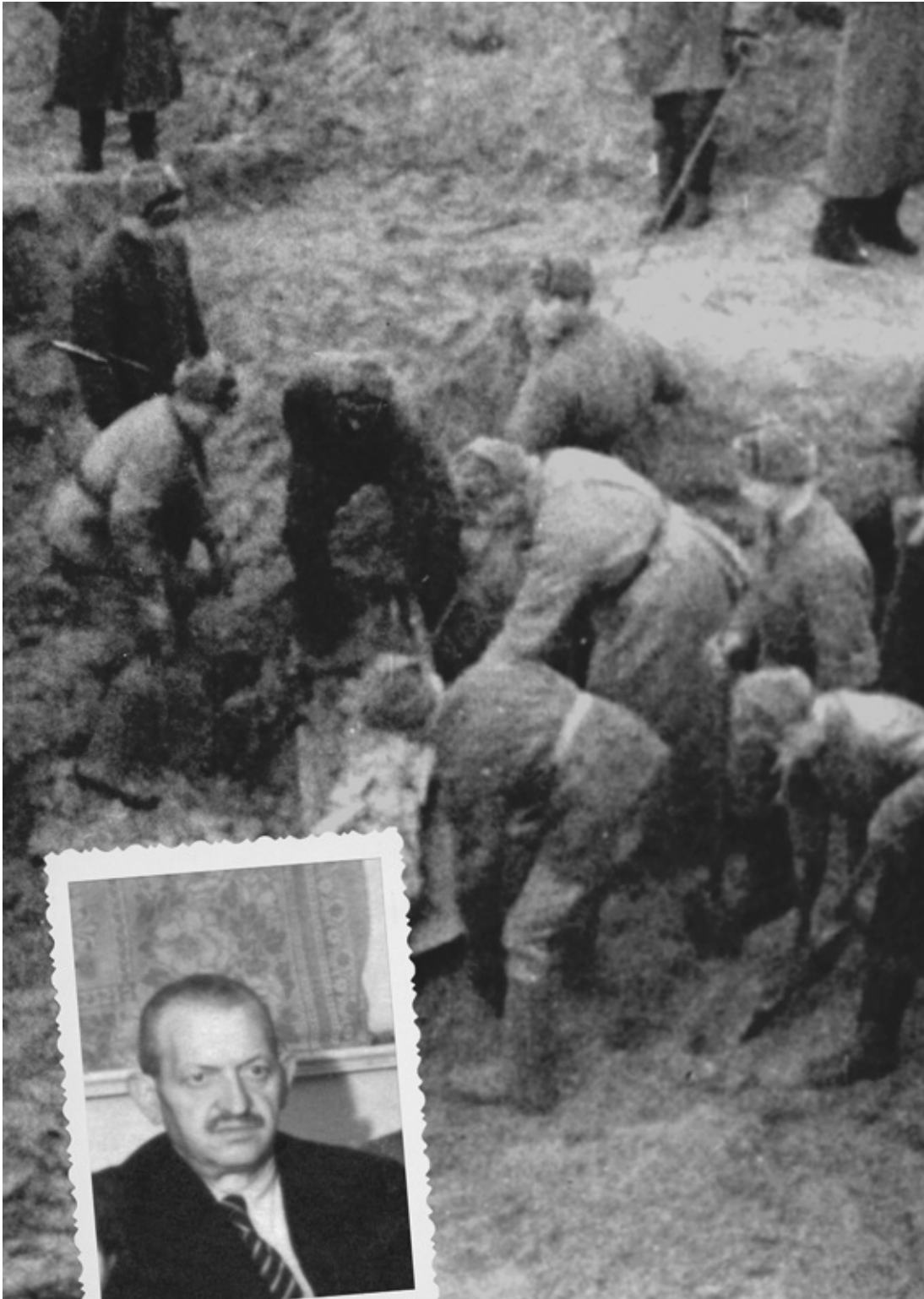
Przez całą okupację ministranci z Jeżyc służyli do mszy w kościele Matki Boskiej Bolesnej na Łazarzu. Po wojnie Maryś jako nauczyciel akademicki organizował chóry Związku Nauczycielstwa Polskiego. Bolesław – młodzieniec o „złym pochodzeniu społecznym” (syn piekarza) – nie dostał się na studia. Po kursach ekonomicznych został głównym księgowym w poznańskim Metalplacie. Zdzich, z wykształcenia prawnik, pracował w Energopolu. Potem zasiadał w Radzie Nadzorczej ZUS-u. Władek działał w opiece społecznej. Zosia i Henia wyszły za mąż, poświęciły się swoim rodzinom.

– Przez 50 lat milczeliśmy, sprawy nie rozpamiętywaliśmy. Dopiero Władek wpadł na pomysł, by w 50. rocznicę jakoś te nasze „włamania” upamiętnić – opowiada Jaskólski.

W 1991 roku szóstka „włamywaczy” spisała swoje relacje i zweryfikowała je w okolicznościowym opracowaniu. Otrzymał je arcybiskup Jerzy Stroba. Od tamtej pory ministranci jeżyccy spotykają się trzy razy w roku w kościele Najświętszego Serca Jezusa: 3 maja, 1 listopada i na styczniowym opłatku. Służą wtedy do mszy świętej.

W 1996 roku w wypadku drogowym zginął Marian Nagórski. Rok później zmarł Władysław Zięta. Zofia Tomaszewska i Henia Nowicka-Wilga są dzisiaj poważnie chore.

– Służba przy ołtarzu formuje ludzi na całe życie. Coś w nich zostaje nawet wtedy, gdy są starymi przykami – mruga znacząco okiem Zdzisław Jaskólski. I z ciężkim westchnieniem dorzuca: – Z żalem patrzę na dzisiejsze msze święte, na których brakuje ministrantów.



GDY PRAWDA BYŁA ZDRADĄ

*Z Katynia wrócił wstrząśnięty, nie chciał o tym rozmawiać.
Zapłacił za to życiem.*

Katarzyna Jendryczka dopiero sześćdziesiąt dwa lata po wojnie poznała prawdę o tym, jak zginął jej pradziadek. Wcześniej nikt nie wiedział, co się z nim stało. Świadkowie zapamiętali tylko, że w 1943 roku Niemcy zabrali go wprost z poznańskiej „Centry” i wszelki ślad po nim zaginął. Tak samo jak po polskich oficerach, odnalezionych w katyńskich dołach.

Herz zajrzał w nie tuż przed śmiercią.

WRÓCIŁ Z DACHAU

Na zdjęciu z lat dwudziestych widać korpulentnego, zadowolonego z życia mężczyznę z wąsem. Siedzi w eleganckim garniturze, na jego twarzy rysuje się beztroska. Na fotografii zrobionej tuż po zwolnieniu z Dachau Władysław Herz ma wychudzoną twarz, zapadnięte oczy i nieobecne spojrzenie. Garnitur wisi na nim jak na starszym bracie.

Przed wojną był znaną postacią w Poznaniu. Działacz polonijny w Berlinie, powstaniec wielkopolski, zasłużony aktywista niepodległościowy podczas plebiscytu na Warmii i Mazurach, w końcu prezes Narodowo-Chrześcijańskiej Partii Robotniczej i poseł na Sejm w latach 1919–1927.

Katarzyna Jendryczka i jej mama Danuta to ostatnie potomkinie Władysława Herza. – W 1939 roku wysiedlono naszą rodzinę z rodzinnego domu na ulicy Poznańskiej na Łanową. Ale moja babcia znała perfektnie język niemiecki, potrafiła walczyć o swoje. Swoimi metodami przekonała Niemców do zwrotu mieszkania. Na krótko, bo za chwilę znowu nas wysiedlili – wspomina Danuta Jendryczka.

Na początku 1940 roku do domu Herzów znowu przychodzą niemieccy żandarmi i tym razem aresztują Władysława. – Babcia zdążyła mu podać jedynie koc w kratkę, by miał się na czym położyć. Niemcy uspokajali: „Za trzy dni wróci”. Ale nie wrócił. Poszedł w płaszczu i kapeluszu, z tym pledem pod ręką. Potem zaczęły przychodzić takie bardzo poprawne listy, najwyraźniej cenzurowane. Wynikało z nich, że dziadek trafił do obozu

w Dachau. Wrócił dopiero półtora roku później, w czerwcu 1941 roku. Jak to się stało? Tego nikt w rodzinie nie wiedział. Wiadomo, że prababcia się starała, by pradziadka zwolnili. Nie wykluczam, że nawet Niemców przekupiła, bo pradziadkowie byli w miarę zasobni – opowiada Katarzyna Jendryczka.

Herz wraca z Dachau strasznie wymizerowany: – To był cień człowieka. Przed wojną był mocno zbudowany, korpulentny. A na zdjęciu z 1943 roku widać wychudzonego człowieka z zapadniętymi policzkami i oczodołami. Pradziadek opowiadał mało, był bardzo ostrożny. Pamiętam tylko, jak wspominał, że w Dachau podnosił na duchu młodych ludzi.

ZOBACZYŁ I ZROZUMIAŁ

Po powrocie z obozu Herz dostaje pracę w poznańskiej „Centrze” na Grochowych Łąkach. Jest pracownikiem fizycznym, chodzi na nocne dyżury.

11 kwietnia 1943 roku niemiecka Agencja Transocean informuje o znalezieniu w lesie katyńskim zwłok „10 tysięcy polskich oficerów”. Dwa dni później informacje te powtarza Radio Berlin, a niemiecki MSZ organizuje specjalną konferencję prasową. „Odkrycie [...] zamordowanych przez NKWD polskich oficerów zostanie wykorzystane w najlepszym stylu antybolszewickiej propagandy” – zanotował w swoim dzienniku Joseph Goebbels, minister propagandy III Rzeszy.

Niemcy tworzą międzynarodową komisję lekarską złożoną z trzynastu ekspertów z krajów satelickich III Rzeszy oraz Szwajcarii. Specjaliści wyjeżdżają do Katynia 28 kwietnia i przebywają tam dwa dni, a wyniki ich prac zostają opublikowane we wrześniu 1943 roku w Berlinie. Goebbelsowi zależy, by do Katynia pojechało jak najwięcej Polaków cieszących się autorytetem w społeczeństwie. Jednym z pierwszych Polaków, który zobaczył doły śmierci, jest pisarz Ferdynand Goettel. Niemieccy propagandyści na gwałt poszukują kolejnych Polaków, którzy zaświadczą o sowieckim okrucieństwie.

Zanim Sowieci odzyskają okolice Smoleńska we wrześniu 1943 roku,

Niemcy organizują całą serię wyjazdów do Katynia przedstawiciele polskiego społeczeństwa. Chcą, by o zbrodni dowiedział się każdy Polak. Do Katynia jadą delegacje z terenu Generalnego Gubernatorstwa, jeńcy polscy (ale również brytyjscy i amerykańscy) z oflagów. A także Polacy zwolnieni z niemieckich obozów.

– Wiosną 1943 roku Niemcy zorganizowali w „Centrze” i innych zakładach pracy wiece. Chodziło o wybranie spośród Polaków delegata do Katynia – osoby uczciwej, szanowanej, która mogłaby pomóc w identyfikacji zwłok polskich oficerów i poświadczyć, że mord dokonali Rosjanie – opowiada Danuta Jendryczka. – Z opowiadań innych wiem, że robotnicy jednogłośnie wybrali mojego pradziadka. Wydaje mi się, że z Poznania wybrali jeszcze cztery osoby, ale ich nazwisk nie znam. To była specjalna komisja z Warthegau [Kraju Warty, terenu Wielkopolski przyłączonego do III Rzeszy w 1939 r. – red.].

Kiedy 23 kwietnia 1943 roku delegacja Polaków z Kraju Warty leci do Katynia, rodzina Herzów przeżywa ciężkie chwile. – To był wstyd dla nas przed sąsiadami, bo do naszego domu często przyjeżdżali niemieccy oficerowie na rozmowy. O czym dokładnie rozmawiali z babcią i dziadkiem, tego nie wiem – przypomina sobie Danuta Jendryczka.

Przed wyjazdem Herz jest raczej przekonany, że mord w Katyniu to sprawa Niemców. – Był przecież w Dachau, miał stamtąd straszne wspomnienia. Chociaż jako polityk mógł podejrzewać, na co stać było Sowietów. Gdy tam zajechali i zobaczyli te doły śmierci, to dziadek zrozumiał, co tam się stało. Mówił potem, że wszyscy oficerowie dostali strzał w potylicę, a to typowa sowiecka metoda egzekucji. Nie wiedział tylko, jak polscy żołnierze trafili do Katynia – opowiada Danuta Jendryczka.

Herz przywozi z Katynia guziki z orłami i strzępy mundurów. Nic się nie zachowało – wszystko zostało w gruzach domu na Szelańgowskiej, zniszczonego w trakcie walk o Poznań na początku 1945 roku.

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Po powrocie z Katynia Niemcy wiozą Herza wraz z innymi Polakami

do Berlina. Po co? Dokładnie nie wiadomo. – Ponoć namawiano ich tam do kolaboracji. Do stworzenia jakiejś namiastki polskich władz – opowiada Danuta Jendryczka. Herz odmawia.

– W tym samym czasie w zakładach pracy odbywały się wiece, na których świadkowie z wyjazdu do Katynia opowiadali, co zobaczyli. Podczas wiecu w „Centrze” mój pradziadek miał się wypowiedzieć bardzo ostrożnie: „Byłem, widziałem, ale kto to zrobił, nie wiem, bo mnie przy tym nie było” – relacjonuje Danuta Jendryczka. – Powiedział wbrew temu, co było prawdą. Dlaczego? Chyba zdawał sobie sprawę, że stąpa po niebezpiecznej drodze. Że jest między młotem a kowadłem. I że się z tego nie wykręci. Bo kiedy był w Katyniu, do naszej skrzynki pocztowej ktoś dwukrotnie wrzucił koperty z napisanymi na maszynie anonimami: „Dni Twoje są policzone”. I z podpisem: „NKWD”.

Katarzyna Jendryczka, prawnuczka Herza, ustaliła, że Niemcy zorganizowali także wielki wiec propagandowy na temat Katynia w Gnieźnie: – Pradziadek nie chciał w tym uczestniczyć. Krótco po wiecu w Gnieźnie gestapowcy zabrali go z dyżuru nocnego w „Centrze”. Nikt nie wiedział, dokąd go wzięli. Z Dachau przysyłał chociaż listy, a tym razem pradziadek nie dawał żadnego znaku życia. Zaginął bez wieści.

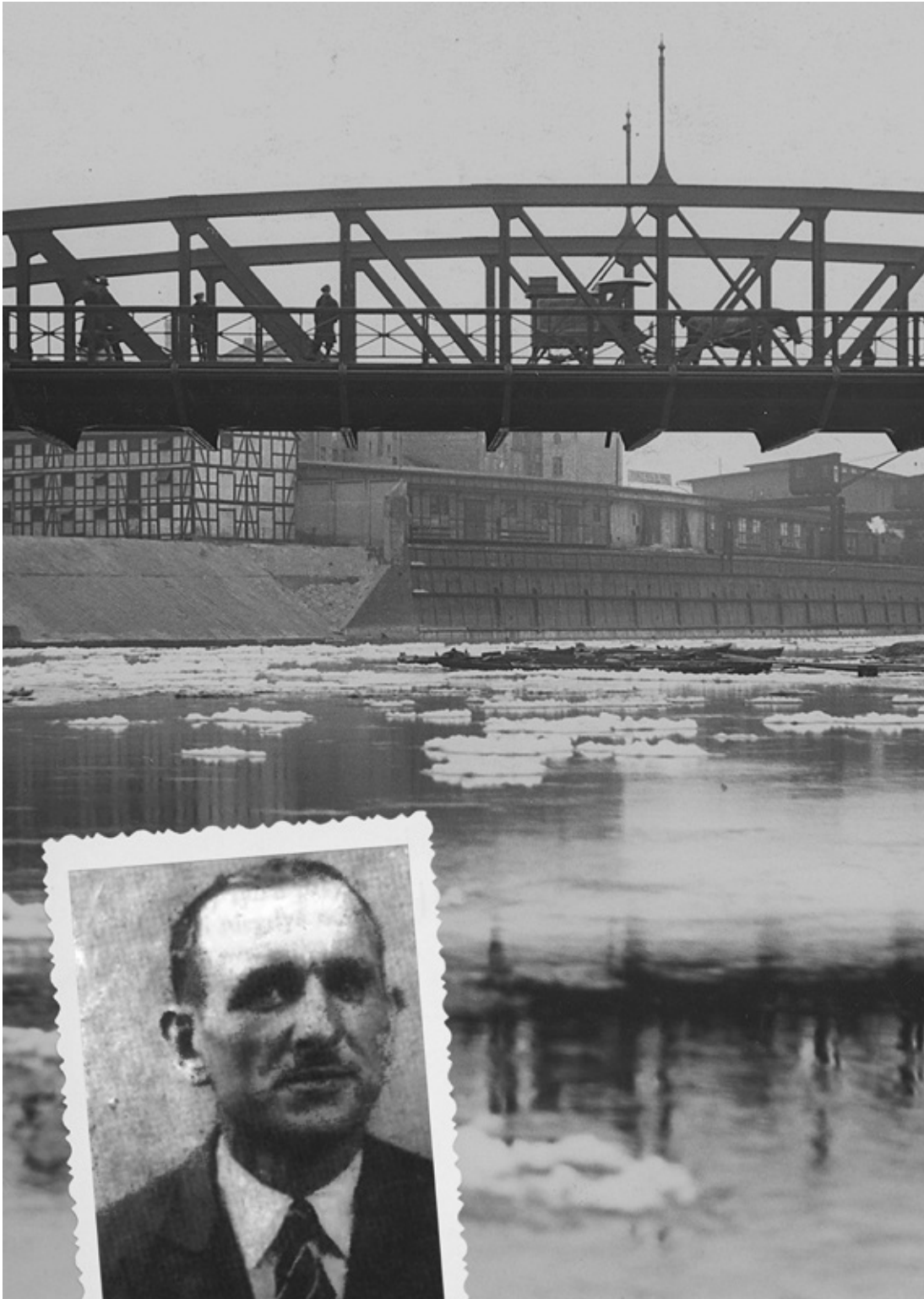
To był już drugi cios w rodzinę Herzów. Wcześniej, wiosną 1942 roku, gestapo aresztowało Bolesława Wojtczaka zięcia Władysława Herza, a dziadka Katarzyny Jendryczki, jednego z „witaszkowców” – członków podziemnej grupy doktora Franciszka Witaszka, która m.in. likwidowała Niemców. Wojtczak zginął w lipcu 1942 roku powieszony przez Niemców w Tuchorzy pod Wolsztynem.

CZERWONY KRZYŻ WYJAŚNIŁ

Przez czterdzieści cztery lata PRL-u i kolejne kilkanaście lat wolnej Polski rodzina nie wie, co się stało z Władysławem Herzem. Rodzinie udaje się jedynie dowiedzieć, że był krótko więziony w obozie w Żabikowie pod Poznaniem. W niektórych opracowaniach można przeczytać, że Herz zginął w 1943 roku na podwórzu swojego domu, co nie jest prawdą.

– Po latach postanowiłam ostatecznie wyjaśnić, co stało się z pradziadkiem Władysławem. Był bowiem taki okres w moim życiu, że miałam pewien żal do niego i mojego dziadka Bolesława. O co? Że w tak trudnych czasach dla rodziny oni w pierwszej kolejności stawiali Ojczyznę, Honor i Boga i przez to opuścili nas w tak trudnych chwilach. Jednak dziś lepiej to rozumiem: oni po prostu tak zostali wychowani – tłumaczy Katarzyna Jendryczka.

Tajemnica zniknięcia Władysława Herza wyjaśnia się dopiero w 2007 roku. – Po pięciu latach poszukiwań dostałam odpowiedź z Czerwonego Krzyża: pradziadek Władysław zmarł 20 lipca 1944 roku w obozie w Gross-Rosen – opowiada prawnuczka Herza. – Dziś wiem, że pradziadek przyjechał do Gross Rosen tzw. pociągiem radomskim. Żaden akt zgonu nie dotarł do Poznania.



AKCJA ŻYCIA ANTKA ŚLEPOKA

W jedną zimową noc w Poznaniu spłonęła ciepła odzież dla całej dywizji Wehrmachtu. Gestapo przez ponad rok szukało podpalaczy. Zemsta Niemców była okrutna.

Syreny wyją nad miastem, gdy łuna znad portu rzecznego bije już na całe Garbary. Jest zimny ranek 21 lutego 1942 roku, w przyłączonym do III Rzeszy Poznaniu ludzie dopiero budzą się ze snu. Strażacy na darmo dwoją się i troją – drewniane baraki nad Wartą płoną jak pudełka zapalek. Na pogorzelnisko przyjeżdża gestapo. Spłonęło przecież mienie wojskowe!

Rok później, czerwiec 1943 roku. Potężny jednooki woźnica rozładowuje wóz stojący przy ulicy Wolnica. Gdy od tyłu zachodzi go kilku tajniaków, mężczyzna stawia opór. Przeciwników jest jednak zbyt wielu, by miał jakiegokolwiek szansę. Chwilę później jego dłonie skuwają kajdanki. Gestapowcy wiedzą, że olbrzym jest „szczególnie niebezpieczny dla Rzeszy”.

ŚLEPY ANTEK – TYP NIEPOKORNY

Przedwojenny Poznań, okryte złą sławą Chwaliszewo. Antoni Gąsiorowski nie należy z pewnością do najznamienitszych mieszkańców stolicy Wielkopolski. Znany jest przede wszystkim policji. „Juchta eki z Chwaliszewa” (gwara poznańska: przywódca bandy z Chwaliszewa), zawadiaka i krewki „ejber” (gwara: osiłek) bywa nieraz odnotowywany w kronikach policyjnych. Już we wczesnej młodości przyłgnęła do niego ksywa „Ślepy Antek” albo „Antek Ślepek”. Wzięła się stąd, że Gąsiorowski stracił w bójce prawe oko. Na jedynym zachowanym zdjęciu Antka widać sztuczną gałkę.

Krewki charakter Antka nie stępia się wraz z wiekiem. W 1937 roku w jednym ze staromiejskich lokali ciężko rani nożem w skroń swojego znajomego o nazwisku Andrzejewski. O co poszło podczas pijackiej scysji, dziś już nie wiadomo. Za ciężkie okaleczenie kompana sąd skazuje Gąsiorowskiego na rok więzienia.

Wyrywny charakter Antka w pewnym stopniu tłumaczy jego trudne dzieciństwo. Urodził się w 1901 roku w Wierzenicy. Gdy tylko ukończył czwartą klasę szkoły powszechnej w Kobylnicy, poszedł do pracy. On i rodzina musieli z czegoś żyć.

W 1919 roku usamodzielnia się, osiada w Poznaniu. Zatrudnia się w firmie przewozowej Hartwig jako woźnica. Dorabia też sobie drobnym handlem. W wolne chwile przesiaduje w knajpach – najczęściej „U Grubego Jasia” na Piaskowej. Kiedy wraca podchmielony do domu, każe synowi Zenkowi grać na organkach hymn narodowy. Ma trójkę dzieci: córkę i dwóch synów. Dała mu je Józefa z domu Tarczewska, z którą ożenił się w Poznaniu. Mieszkają pod różnymi adresami: na Garbarach, Piaskowej...

„KUBA” WERBUJE ANTKA I JEGO EKE

Gdy przychodzi wojna, Ślepy Antek zmienia się. Wracając z roboty, nuci pod nosem Mazurka Dąbrowskiego. Walczy z okupantem na swój sposób: gromadząc waltery i parabelki. Zdobywa je na podchmielonych Niemcach, którzy nieostroźnie zapuścili się w ciemne uliczki Chwaliszewa. Ciężka pięść juchty gwarantuje sukces i dyskrecję.

Legenda Ślepego Antka i sława jego eki zwraca uwagę starszego sierżanta Michała Garczyka, pseudonim „Kuba”, zawodowego oficera Wojska Polskiego, organizującego sabotaż. To on w połowie stycznia 1942 roku werbuje Gąsiorowskiego i zaprzysięga go do Związku Walki Zbrojnej (przemianowanego miesiąc później na Armię Krajową).

– Spotkali się przy kiosku na placu Sapieżyńskim [dziś plac Wielkopolski – red.]. [...] Legitymacją dla Antka było oświadczenie, że jest dobrym Polakiem „jak każdy z Chwaliszewa”. Był zafascynowany tym, że istnieje Polska Podziemna, a on może być jej żołnierzem. Zaprosił wówczas Garczyka „na piwo”, gdyż w jego przekonaniu taka oprawa była najbardziej godna ceremonii zaprzysiężenia. „Kuba” na propozycję przystał – ustalił Marian Woźniak.

Gąsiorowski wybiera sobie pseudonim „Ślepy”. „Bo tak mnie znają” – uzasadnia. Po zaprzysiężeniu Garczyk ma z nim pewien problem, bo Antek nie rozumie, dlaczego musi utrzymać wszystko w tajemnicy. „Jestem żołnierzem, nie chcę zginąć nieznany” – powtarza.

– (Ojciec) wrócił do domu podchmielony. Zebrał nas i powiedział: „Jestem żołnierzem Polski Podziemnej. Jak już Polska będzie wolna, dostanę konia

i nie będę musiał się wysługiwać” – wspominał syn Gąsiorowskiego.

O angażu Ślepego Antka do konspiracji decyduje w pierwszej kolejności doskonała znajomość Chwaliszewa, a więc również zabudowań i terenu portu rzeczno-garniarskiego na Warcie. Port interesuje Garczyka – oficjalnie elektryka w firmie Siemens, a w rzeczywistości zakamuflowanego dowódcę Lotnego Oddziału Dywersji Bojowej, funkcjonującego pod szyfrowaną nazwą „Kuba”. Oddział podlega Związkowi Odwetu, jednostce dywersyjnej Związku Walki Zbrojnej. Zbiera się co jakiś czas w mieszkaniu na Wildzie (Umińskiego 25 mieszkania 8). Organizuje akcje sabotażowo-dywersyjne w zakładach przemysłowych na terenie okupowanej Polski, ale także poza nią. Patrole „Kuby” podpalają m.in. zakłady przemysłowe w Grudziądzu, Wrocławiu i Goslarze (w Niemczech). Na celowniku lotnego Oddziału Dywersji Bojowej znajdują się też magazyny, transporty wojskowe i stadniny koni. Dywersanci „Kuby” co najmniej trzy razy zatrują karmę dla koni Wehrmachtu na terenie Kraju Warty.

Garczyk, poruszając się po terenie Warthegau w mundurze Deutsche Reichsbahn, wielokrotnie dezorganizuje niemieckie transporty kolejowe: sypie piasek w smarownice osi wagonów, kieruje składy na fałszywe kierunki, podpala wagony ze słomą, zbożem, środkami medycznymi, odzieżą i żywnością. Ma też swoje patenty na uszkodzanie parowozów.

Od lata 1940 roku „Kuba” marzy o ataku na magazyny wojskowe w porcie rzeczno-garniarskim w Poznaniu. Już wtedy wraz z porucznikiem Czesławem Surmą (szefem Związku Odwetu) opracowują pierwszy plan ataku. Kiedy jednak zagrożony dekonspiracją Surma musi wyjechać do Generalnego Gubernatorstwa, akcja zostaje zawieszona. Do zimy 1942 roku.

WOJNA I POLITYKA

W grudniu 1941 roku Wehrmacht ponosi pierwszą, dotkliwą klęskę pod Moskwą. O przegranej Niemców decydują przede wszystkim braki w paliwie, sprzęcie i ciepłej odzieży – niedostatecznie ubrani i niedożywieni żołnierze Wehrmachtu masowo zamarzają na śmierć w liniach okopów. Dlatego tej zimy w całej Rzeszy rusza wielka akcja gromadzenia ciepłej

odzieży dla Wehrmachtu. Magazyny w porcie rzeczonym w Poznaniu należą do największych punktów przeładunkowych w III Rzeszy.

Na efektowną akcję w Poznaniu liczy Naczelny Wódz i rząd w Londynie. Na początku grudnia 1941 roku generał Władysław Sikorski wybiera się do Moskwy na trudne rozmowy polityczne ze Stalinem. Każdy mocny argument, że polskie podziemie wspiera Armię Czerwoną, ma wagę złota. Przygotowania do ataku na port w Poznaniu ruszają jednak dopiero na początku 1942 roku.

Garczyk organizuje dwudziestoosobową grupę bojową, w skład której wchodzi również członek eki Ślepego Antka, m.in. jego brat Władysław, pracownik portu. Kluczowe role grają Roch Piątkowski oraz Władysław Laube, oficjalnie volksdeutsch i wartownik w Wach- und Schliessgesellschaft. W rzeczywistości członek ZWZ i najbardziej zaufany człowiek konspiracji na terenie portu rzeczowego.

To Laube pierwszy rozpoznaje teren portu. Raportuje, że baraki magazynów stoją gęsto i stykają się ze sobą. I proponuje: „Wystarczy podłożyć ogień w magazynach Posener Gummiwerke, a wszystko pójdzie z dymem!”.

Laube wie, co mówi: w Posener Gummiwerke znajduje się co najmniej pięć tysięcy opon. I tysiące innych elementów z gumy i kauczuku. A wszystko to materiały łatwopalne. W dodatku terenu magazynu pilnuje jako wartownik Leon Kolanek, również członek grupy „Kuby”!

Nocą na teren portu kilkakrotnie przenika też Ślepy Antek. Konspiratorzy ustalają, że w porcie nie będzie czym gasić pożaru: nie ma tu ani basenów z wodą, ani gaśnic.

PIECYK NA STANOWISKU

Na przełomie 1941 i 1942 roku w porcie rzeczonym w Poznaniu pracuje wielu Polaków. Część z nich mieszka w barakach stojących niedaleko Warty. Pracują przy rozładunku wagonów, podstawianych na bocznicę.

Na początku lutego w jednym z magazynów na nabrzeżu Warty pojawia się osiemnastoletni Henryk Golimowski, zatrudniony w niemieckiej firmie

E. Duerst, świadczącej usługi elektrotechniczne w niemieckich zakładach na terenie Poznania. Kiedy Golimowski trzyma się nad nową instalacją elektryczną, zgłasza się do niego dwóch pracowników z portowych baraków. Proszą, by naprawił im piecyk elektryczny. Golimowski zgadza się, wykonuje usługę w dwa dni. Płacą jajkami i gotówką.

Golimowski spotyka się z nimi jeszcze kilkakrotnie. Dowiaduje się, że są podoficerami Wojska Polskiego. I że przygotowują akcję podpalenia magazynów. Do podpalenia ma im posłużyć piecyk i kabel. Proszą chłopaka, by tak przełączył instalację elektryczną, aby nocą prąd płynął również w magazynie.

Sprawa nie jest prosta, bo Niemcy pilnują magazynów jak oczka w głowie. Konspiratorzy wykorzystują moment, kiedy niemieccy wartownicy schodzą na przerwę obiadową do kantyny. 20 lutego około godziny 13.30 Henryk Golimowski i Henryk Zielazek przełączają instalację w jednym z magazynów, potem podłączają do niej piecyk. Cała akcja trwa pięć minut.

Urządzenie zostaje odpowiednio przygotowane do swojej roli – Golimowski instaluje w nim stary zegar na sprężynę, który o określonej porze wywoła zapłon zgromadzonych w nim łatwopalnych materiałów.

AKCJA BŁYSK

Piątek 20 lutego 1942 roku. Ostatnie godziny przed akcją Ślepy Antek przesiaduje w knajpie Staszka Koniecznego, miejscowego volksdeutscha. Nakazuje mu zamknąć lokal, zasunąć okna i wydać członkom swojej ekipy suto zakrapianą kolację. Przedstawia się właścicielowi lokalu jako żołnierz podziemia i zapowiada, że jeśli Konieczny się komuś wygada, pożegna się z życiem.

Akcją o kryptonimie „Bollwerk” (Grobla) dowodzi osobiście Garczyk. Późnym wieczorem sierżant „Kuba” wraz ze Ślepym Antkiem rozprowadza jedenastu żołnierzy AK i czterech członków chwaliszewskiej eki po porcie rzeczonym. Jest wśród nich m.in. brat Antka, Władysław Gąsiorowski. Na teren portu dostają się przez bramę Posener Gummiwerke. Nie jest to

trudne – kilku członków grupy to wartownicy portowi.

Ludzie „Kuby” posługują się słomą i nasyconymi benzyną szmatami. Drewniane magazyny szybko zajmują się ogniem. Zanim wstanie świt, płoną już magazyny firm Hartwig, Mewes i Posener Gummiwerke. Piecyk elektryczny, skonstruowany przez Golimowskiego, doprowadza do zwarcia instalacji elektrycznej, która ma naprowadzić Niemców na fałszywe tropy.

Lonty, skręcone przez Ślepego Antka ze słomy, miały zagwarantować, że po pożarze Niemcy nie odkryją prawdziwych źródeł ognia. „Ślepy” podłożył ogień pod pierwszy lont. Według relacji konspiratorów, miał z dumą obserwować rosnące płomienie.

Marian Woźniak, redaktor „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”, podkreśla zaangażowanie juchty w akcję w porcie. To Ślepy Antek miał opracować szczegółowe wskazówki zajęcia magazynów, ułożenia lontów i wycofania żołnierzy po akcji. „W odprawach organizacyjnych deklarował gotowość do poświęceń graniczących z bohaterstwem. Uważał swoje powołanie do ZWZ-AK za największy zaszczyt, jaki spotkał go w życiu” – czytamy w „Encyklopedii”.

Według Jerzego Korczaka, autora fabularyzowanej książki „Konspiratorzy i zdrada”, Ślepy Antek miał podsunąć Garczykowi pomysł wyniesienia z palących się magazynów żywności dla głodującego Poznania. W decydującym momencie akcji podjechał pod główną bramę swoim wozem, by załadować na niego żywność dla Polaków. – W trakcie akcji Ślepy Antek poprosił dowódcę, żeby zwolnił go na dwadzieścia minut. W tym czasie ukradł Niemcom trzy worki cukru. Z cukrem wrócił do domu, i jak miał w zwyczaju, nie wyjaśnił rodzinie, co robił i skąd przyniósł łup – ustalił Marcin Fabjański, reporter „Gazety Wyborczej”.

MILIONOWE STRATY

Ogień w porcie zauważono 21 lutego 1941 roku około czwartej nad ranem. Zanim w Poznaniu zrobi się jasno, z dymem idzie kilka ton żywności dla Wehrmachtu, kilka tysięcy opon dla pojazdów bojowych, buty i ciężka odzież, a także narty dla żołnierzy niemieckich na froncie wschodnim.

Niemcy oszacują straty na 1,5 miliona marek (zdaniem polskich historyków, w rzeczywistości były wyższe). Mundur szeregowca Wehrmachtu kosztuje wtedy około 300 reichsmarek – z dymem poszła więc ciepła odzież dla co najmniej jednej dywizji Wehrmachtu. A być może nawet dla dwóch.

Kiedy w porannych ciemnościach Garbarami pędzą ku portowi wozy strażackie i karetki pogotowia, bramy otwierają im wartownicy, którzy... właśnie wrócili z akcji na swoje posterunki. Straż pożarna nie ma szans ugasić pożaru. Drewniane magazyny płoną jak zapałki.

Legenda głosi, że kiedy niemiecka policja i strażacy przyjechali do płonącego magazynu, w którym zgromadzono odebrane Polakom gramofony, jeden z nich miał grać z płyty Mazurka Dąbrowskiego. To miał być pomysł Ślepego Antka. Ile w tym prawdy, dziś nie sposób już ustalić.

Jeszcze tego samego dnia Niemcy aresztują wszystkich obecnych w porcie robotników i strażników – również uczestników akcji. Gdy 22 i 23 lutego gestapo zatrzymuje podejrzanych, Gąsiorowski odwiedza swoich podwładnych i wzywa ich do „zachowania godności żołnierza”.

GESTAPO WĘSZY DO SKUTKU

Z Berlina przyjeżdża specjalna ekipa techników śledczych. Ustalają, że przyczyną pożaru było zwarcie w starej instalacji elektrycznej. Potwierdza to wkrótce artykuł w „Ostdeutscher Beobachter”. Wszyscy zatrzymani pracownicy magazynów i portu zostają zwolnieni.

Poznańskie gestapo nie godzi się jednak z werdyktem fachowców z Berlina. Powołuje specjalny zespół do spraw wyjaśnienia przyczyn gigantycznego pożaru. A w miasto wysyła sieć konfidentów.

W kwietniu 1942 roku gestapo wpada na trop Związku Odwetu, aresztuje m.in. Franciszka Witaszka. Zagrożony aresztowaniem sierżant Garczyk ukrywa się pod Kościanem i Gostyniem. W sierpniu 1942 roku mimo fali aresztowań wraca jednak do Poznania. 21 października 1942 roku zostaje zdekonspirowany i ujęty. Mimo brutalnego śledztwa nie przyznaje się do udziału w akcji „Bollwerk”.

Zdaniem nieżyjącego już Mariana Woźniaka konspiratorów prawdopodobnie wydali wciągnięci do akcji robotnicy. Wiosną 1943 roku, po rocznym śledztwie, Geheime Staatspolizei aresztuje w sumie siedemdziesiąt osób. Wielu z zatrzymanych Niemcy zabijają w czasie przesłuchań.

25 czerwca 1943 roku Ślepy Antek rozładowuje wóz na Wolnicy. Zachodzi go od tyłu kilku tajniaków gestapo. Juchta stawia opór, ale przeciwników jest zbyt wielu.

Śledczy gestapo notują w aktach Ślepego Antka, że zna go całe Chwaliszewo. I że jest niebezpieczny dla III Rzeszy.

Ślepy Antek wiedział ponoć, że gestapo jest na tropie i ma go aresztować. Mógł się ukryć, ale nie chciał. Rodzinie zapowiedział, że jeśli go zamkną, to nic nie powie i zginie jak bohater.

Skutego juchtę gestapowcy przewożą do więzienia na Młyńskiej. Podczas przesłuchania odmawia jednak zeznań. Gdy śledczy Jan Gerhard pcha go w stronę przesłuchujących, Ślepy Antek mimo skrępowanych rąk skacze do gardła jednego z gestapowców i przegryza mu tętnicę. Ciężko ranny Niemiec trafia do szpitala na Łąkowej.

W odwecie gestapowcy przez całą noc masakrują Antoniego Gąsiorowskiego. „Ślepy” nie wyjawia żadnej tajemnicy. Ginie śmiercią żołnierza.

Oficjalne dokumenty gestapo mówią, że Ślepy Antek zmarł 26 czerwca 1943 roku z powodu „zapalenia brzucha”.

KRWAWA ZEMSTA

Dwa dni później, 28 czerwca 1943 roku, Ernst Damzog, inspektor policji w Warthegau, zawiadamia oficjalnie prokuraturę, że śledztwo w sprawie podpalenia magazynów w porcie rzeczonym zostało zakończone. Niemieccy śledczy udowodnili w nim, że za wywołanie pożaru odpowiada grupa sabotażowa Związku Walki Zbrojnej, kierowana przez Garczyka.

„Kuba” przechodzi ciężkie śledztwo w Domu Żołnierza (siedzibie gestapo) i Forcie VII. Mimo tortur nie wyjawia towarzyszy. 16 listopada 1943 roku Sąd

Specjalny (Sondergericht) skazuje na śmierć czternastu żołnierzy AK, którzy podpalili magazyny nad Wartą: dowódcę Michała Garczyka, Antoniego Piechowiaka, Leona Kolanka, Tomasza Prymelskiego, Edmunda Jankowiaka, Tomasza Maćkowiaka, Michała Śmigielskiego, Edwarda Silskiego, Mariana Anioła, Czesława Ławickiego, Stanisława Sztukowskiego, Stanisława Piotrowskiego, Stanisława Kaliszana i Józefa Przybylskiego. W osobnym procesie wyrok śmierci otrzymuje Władysław Laube. Podczas śledztwa Niemcy mordują w Forcie VII – bez sądu i wyroku – porucznika Lecha Nowackiego.

17 grudnia 1943 roku sierżant Michał Garczyk zostaje stracony w więzieniu na Młyńskiej. Na Młyńskiej Niemcy wieszają też brata Ślepego Antka, Władysława. I jego siostrzeńca Henryka Kwiatkowskiego.

Gestapo zbiera krwawe żniwo. Jeszcze tego samego roku Niemcy aresztują i w niewyjaśnionych okolicznościach mordują Czesława Surmę „Blondasa” – pierwszego dowódcę Związku Odwetu, który w czerwcu 1941 roku uszedł z Poznania do Warszawy. A także podchorążego Mieczysława Jankowiaka, młodego kuriera Komendy Głównej.

NIECH MU PAN POWIE...

14 marca 1942 roku Naczelnny Wódz i premier polskiego rządu generał Władysław Sikorski pisze do ambasadora Stanisława Kota, który ma się spotkać w Moskwie ze Stalinem: „Niech mu Pan powie, że spalenie olbrzymich magazynów ciepłej odzieży w Poznaniu oddało chyba poważną usługę armii sowieckiej”.

Nie wiadomo, czy Kot użył na Kremlu tego argumentu i jakie on wywarł wrażenie na sowieckim przywódcy. Wiadomo, że miesiąc później – po ujawnieniu przez Niemców zbrodni katyńskiej – rząd sowiecki zerwał stosunki z rządem Sikorskiego.

Wiadomo również, że za akcję w porcie zapłaciła też rodzina Ślepego Antka. Niemcy wyrzucili ich na bruk. Żona Gąsiorowskiego trafiła do Ravensbrück. Z obozu wróciła krańcowo wyczerpana (zmarła w 1961 roku, nie odzyskawszy już nigdy zdrowia). Ciężkie śledztwo przeszła córka

Ślepego Antka – Helena. Podczas przesłuchania gestapowiec protezą dłoni wybił jej wszystkie zęby.

Stanisław Gąsiorowski, syn Antka, o bohaterstwie i zasługach swojego ojca dowiedział się dopiero w latach 90. ubiegłego wieku. Dziś nazwisko jego ojca jest widoczne na pomniku upamiętniającym bohaterstwo żołnierzy „Kuby”. Skromny obelisk stoi przy ulicy Szyperskiej, którą być może w lutym 1942 roku wycofywali się po udanej akcji konspiratorzy ze Związku Odwetu.



NIEBEZPIECZNA ŚLICZNOTKA MARIE SPRINGER

Czarowała niemieckich żołnierzy, zdobywając bezcenne informacje. Dzięki niej alianci zatopili „Tirpitz”, bliźniaka „Bismarcka”.

Jesień 1942 roku. Pociąg do Berlina staje tuż przed stolicą Rzeszy. Okazuje się, że po alianckim nalocie wjazd do Berlina został zamknięty dla wszystkich cywilów. Oszłamiająco piękna, blondwłosa volksdeutschka ma jednak swoje sposoby: błyskawicznie „zaprzyjaźnia się” z oficerami Wehrmachtu, wracającymi z frontu wschodniego. Uroda i błyskotliwość przynoszą efekt: kobieta wjeżdża do Berlina dzięki pomocy szarmanckich oficerów w przedziale z napisem „Nur für Kurier” (niem. tylko dla kurierów).

Niemieccy żołnierze nie zdają sobie sprawy, z kim mają do czynienia. Marie Springer (bo takie dane widnieją w jej perfekcyjnie podrobionych papierach) to kurierka Armii Krajowej. Podając się za volksdeutschkę, od września 1942 roku przewozi na trasie pomiędzy Warszawą, Poznaniem a Berlinem tajną pocztę z materiałami wywiadowczymi. Walizka, którą ze sobą tacha, ma podwójne dno – wyprodukowano ją wszak w warszawskiej pracowni AK przy Królewskiej 16. Marie Springer przemycła w niej meldunki wywiadowcze i kartki żywnościowe, fałszowane przez Wydział Legalizacji i Techniki Wywiadu AK. Kartki wymienia w Rzeszy – za dwie fałszywe dostaje od czarnorynkowego handlarza jedną prawdziwą. To opłacalne, bo do Berlina wiezie całą płachtę lewych kartek. W drogę powrotną do walizki z fałszywym dnem zabiera m.in. rysunki niemieckich łodzi podwodnych.

SPRYCIARA CZARUJE PORUCZNIKA Z „TIRPITZA”

Gdy wybucha wojna, Zofia Konieczka ma 21 lat. Urodziła się w Berlinie, pochodzi z mieszanej polsko-niemieckiej rodziny. Mówi po niemiecku jak rodowita Niemka. Przed wybuchem wojny mieszka w Poznaniu. To tu w Miejskiej Szkole Handlowej poznaje Wilhelmine Günther, w której mieszkaniu na Piekarach będzie nocować podczas swoich tajnych przejazdów między GG, Krajem Warty i Rzeszą. Wychodzi za znanego poznańskiego kupca Janusza Rappa. Jesienią 1939 roku zostają wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa, jej mąż umiera w 1941 roku.

„Pierwsze moje wrażenie gdy ją spotkałem w lokalu kontaktowym »Radwana«, szefa Wydziału Ofensywnego na Zachód, było: jakaż ona ładna!” – wspominał swoje pierwsze spotkanie z Zofią Rapp Stanisław Jankowski „Agaton”, szef Wydziału Legalizacji i Techniki w Oddziale II Komedy Głównej Armii Krajowej. „Miała dwadzieścia dwa lata, włosy koloru zboża, czarujący, trochę melancholijny uśmiech. Żałoba po mężu, czarna sukienka, podkreślała jeszcze jej urodę. Równie ładnie wyglądała na fotografiach, które wklejaliśmy do fałszywych dokumentów, wyprawiając ją do Rzeszy jako kuriera wywiadu AK”.

We wrześniu 1942 roku jedzie po raz pierwszy jako kurierka wywiadu Armii Krajowej. Ma odwiedzić Poznań, stolicę Kraju Warty, a więc teren szczególnie niebezpieczny, bo wcielony do Rzeszy. Karol Trojanowski „Radwan” wysyła ją do Poznania ryzykownie: z polską kenkartą i przepustką, którą Rapp wystawia sobie sama na prawdziwe nazwisko. Od fałszerzy dokumentów AK dostaje jedynie pisma polecające i kartki żywnościowe. „Jeśli jest spryciara, to da sobie radę” – mówi „Radwan”.

„Spryciara” już za pierwszym razem pokazuje, co potrafi: dojeżdża nie tylko do Poznania, ale również do samego Berlina. Nawiązuje kontakty i przywozi niesamowite materiały wywiadowcze.

Sprzyja jej szczęście: w Berlinie zatrzymuje się u ciotki, której zięć pracuje w fabryce czołgów, a syn służy na pancerniku „Tirpitz” – dumie Kriegsmarine (bliźniaczym kolosie zatopionego w maju 1941 roku „Bismarcka”). „Tirpitz”, największy okręt niemieckiej marynarki, to utrapienie aliantów – stałe zagrożenie dla konwojów do Murmańska. Alianci od miesięcy usiłują go zlokalizować i zatopić.

Młody porucznik z „Tirpitz” akurat przyjeżdża na urlop do rodziny. Chce zaimponować ślicznej kuzynce – chwali się, pokazuje zdjęcia pancernika, opowiada o swojej służbie. Dzięki jego gadatliwości Marie Springer określa liczbę członków załogi pancernika, ilość samolotów i kaliber dział okrętu. Dowiaduje się też najważniejszego: nazwy norweskiego fiordu, w którym ukryty jest „Tirpitz”, chroniony przez potrójną sieć przeciwtorpedową. Marie zdobywa nawet kilka zdjęć okrętu, które traci nieuważny oficer.

Informacje zdobyte przez Marie Springer pomagają zniszczyć „Tirpitz”.

Po ataku miniaturowych okrętów podwodnych zostaje uszkodzony i unieruchomiony, a w listopadzie 1944 roku dobijają go dwie 4,5-tonowe bomby „Tall boy” zrzucone z brytyjskich bombowców Lancaster. Okręt przewraca się do góry stępką i osiada na mieliźnie.

TAJNE WIEŚCI Z HANOWERU

Kierownictwo AK jest pod wrażeniem sukcesu Rapp. W następną podróż jedzie już na fałszywych AK-owskich papierach. „Uzgodniliśmy, że będzie jeździła jako Marie Springer, volksdeutschka. [...] Mówiła po niemiecku jak rodowita Niemka, z charakterystycznym gardłowym »r«” – wspominał „Agaton”. „Fałszywe nazwisko okazało się szczęśliwe. Od września 1942 roku jeździła co miesiąc aż do maja 1943 roku. Na najtrudniejszych kierunkach: do Berlina, Hamburga, Heilderbergu, Hanoweru, Ludwigshafen, Saarbrücken. Miała dobre papiery, świetnie mówiła po niemiecku, była elegancka i śliczna. To jej na pewno nieraz pomagało, ale nie wystarczyłoby w rozgrywkach z Abwehrą i gestapo. Była opanowana i odważna. I miała szczęście”.

Dzięki tysiącom informatorów – Polaków przebywających na terenie Rzeszy, mieszkających tam już przed wojną lub wywiezionych na przymusowe roboty – polski wywiad zdobywa wiele cennych informacji. Od Polaków z fabryki Hannover Stecken, produkującej akumulatory do okrętów podwodnych, Marie Springer uzyskuje informacje dotyczące produkcji oraz plany miasta. Dzięki nim alianci przeprowadzają skuteczny nalot na fabrykę.

ARESZTOWANIE WE LWOWIE

W marcu 1943 roku Zofia Rapp wychodzi ponownie za mąż, tym razem za Jana Kochańskiego „Maćka”, cichociemnego, także pracującego w Wywiadzie Ofensywnym Armii Krajowej. Choć oboje pracują w wywiadzie, przestrzegają zasady, żeby wiedzieć o swych służbowych sprawach jak najmniej. Tak będzie bezpieczniej.

Wiosną 1943 roku siatka kurierska przeżywa wielką wyspę. Zofia nie jeździ już jako kurierka. „Maciek” dostaje przydział do sieci wywiadowczej we Lwowie. Zabiera ze sobą żonę. Zofia jest w ciąży.

Do Lwowa docierają z nowymi dokumentami jako Maciej i Zofia Zubowiczowie. Praca wywiadowcza na zapleczu frontu wschodniego jest wyjątkowo trudna i niebezpieczna. Po powrocie z Warszawy 28 października 1943 roku „Maciek” słyszy od dozorczy domu, że ktoś o nich pytał. Ich adres znają tylko dwie osoby z konspiracji. Kochański domyśla się, że grozi im niebezpieczeństwo. Nie może jednak uciekać z żoną od razu – Zofia jest już w ósmym miesiącu ciąży.

W niedzielę 1 listopada 1943 roku o wpół do szóstej rano do mieszkania dzwonią uzbrojeni w karabiny Niemcy. Spodziewają się obstawy. Kochański nie stawia jednak oporu. Nie chce, by coś złego stało się żonie.

Wiozą ich do siedziby gestapo. Choć jadą w jednym samochodzie, Niemcy nie pozwalają im zamienić ze sobą ani jednego słowa.

RAPP UDAJE, ŻE NIE ZNA NIEMIECKIEGO

Na gestapo rozdzielają ich. Zofia Rapp układa sobie „legendę”: że jest naiwną, przestraszoną kobietą w ciąży, która nic nie wie o konspiracyjnej działalności męża. Postanawia nie przyznawać się do niczego, nawet do znajomości niemieckiego. Podczas pierwszego przesłuchania udaje, że niewiele rozumie. Domaga się tłumacza. Gestapowiec w cywilu, który zna jej prawdziwe nazwisko i poprzedni adres w Warszawie, a także wie o jej wyjazdach do Rzeszy, rzuca krótko: „Ona kłamie!”.

„Pani myśli, że my nie bijemy ciężarnych kobiet?” – pyta inny funkcjonariusz prowadzący śledztwo. Ale jej nie biją.

Następnego dnia konfrontacja: sadzają ją i męża na krzesłach, zestawionych ze sobą oparciami. „Wiedzą wszystko” – mówi do niej Jan.

Zofia decyduje się zmienić taktykę. Przyznaje, że zna niemiecki. Przyznaje, że jeździła do Rzeszy. Utrzymuje, że dostarczała kartki żywnościowe dla wywiezionych na roboty Polaków. Nie wspomina nic o celach wywiadowczych. Wymienia niemieckie miasta, do których jeździła, dodając

nazwy tych, w których nie była w ostatnim czasie. Chce maksymalnie utrudnić identyfikację i namierzenie współpracujących z nią ludzi.

Przesłuchują ją co dwa-trzy dni. Gra na czas. Wie, że zbliża się termin porodu. Nie może zostać pobita. Obiecuje, że wskaże miejsca w niemieckich miastach, w których spotykała się z Polakami.

Trzy dni po aresztowaniu po raz ostatni widzi męża. Gdy oprawcy prowadzą go korytarzem, mówi do niego głośno. Nie wie, czy Janek ją usłyszał.

MIĘDZY GESTAPO A TYFUSEM

Zofia nie chce trafić na Pawiak. Choć do terminu porodu pozostaje sześć tygodni, oświadcza Niemcom: „Będę rodzić za dwa tygodnie”.

Kiedy wspomina o bólach i prosi o wizytę u lekarza, wywożą ją karetką więzienną pod eskortą uzbrojonych gestapowców.

Nie trafia jednak do szpitala, lecz do obozu dla Żydów na ulicy Janowskiej. Do baraku z chorymi na tyfus Żydówkami – na wspólne łóżko z ranną Rosjanką z partyzantki; widzi jej ropiejące rany i wrzody. O dwa łóżka dalej leży kurierka AK z jedną nogą amputowaną, a drugą połamaną w gipsie. Dziewczyna wyskoczyła z trzeciego piętra podczas przesłuchania. Oprócz nich w baraku sami Żydzi.

Drugiego dnia do baraku wchodzi uzbrojeni w pistolety maszynowe własowcy i szaulisi [litewscy faszyci – red.] dowodzeni przez gestapowców. Zofia Rapp podsłuchuje ich rozmowę: jutro wykończą obóz. Próbuje namówić małżeństwo żydowskich lekarzy opiekujących się chorymi do ucieczki przez mur odgradzający obóz od cmentarza. Nie chcą słuchać. O czwartej rano oprawcy przychodzą znowu: likwidują obóz i sześć tysięcy więźniów. Do baraku Rapp wchodzi pijani gestapowcy. Strzelają do chorych leżących w łóżkach. Przy Zofii zatrzymują się. „Blondynka! Żydówka czy Polka?” – zastanawiają się na głos. „Strzelać czy nie?”.

Nie strzelają. Z baraku ocaleją tylko trzy osoby – Zofia Rapp, ranna Rosjanka i dziewczyna bez nogi. Razem z kurierką bez nogi zabierają ją z powrotem do więzienia. Zostaje umieszczona w izolatce, na oddziale

męskim, co utrudnia z nią kontakt. W końcu dostaje od znajomej witaminę C i gryps: „Staraj się dostać do szpitala, symuluj trudny poród”.

UCIECZKA NA PORÓD

Więc symuluje. Informuje Niemców, że za kilka dni będzie rodzić. Sprowadzony żydowski lekarz potwierdza fałszywą diagnozę. Rapp przenoszą do szpitala. Sala znajduje się na wysokim parterze, kurierka wie, że nie da rady wyskoczyć w dziewiątym miesiącu ciąży.

Jest stale pilnowana, ale udaje, że musi często chodzić do łazienki. Grudzień, więc za oknem mróz, a w szpitalu zimno. Do łazienki chodzi więc w palcie. Tuż obok łazienki odkrywa żelazne drzwi do piwnicy. Kilka dni później, gdy będzie udawać bóle porodowe, drzwi do piwnicy okażą się otwarte. Przez kotłownię, portiernię i bramę ucieka na ulicę. Spokojnie dochodzi do następnej przecznicy i wsiada do tramwaju. Dociera do mieszkania Marii Strońskiej, od której dostawała grypsy w więzieniu. Gdy Strońska otwiera drzwi, z emocji mdleje.

Lwowskie gestapo rozsyła listy gończe, obiecuje wysoką nagrodę. Dozorcą kamienicy, w której ukrywa się Zofia Kochańska, jest ukraiński nacjonalista – może być konfidentem gestapo. Choć ma już bóle, Zofia jest pewna, że urodzi syna – postanawia, że zrobi to w Warszawie. Da mu na imię Maciek – taki pseudonim nosił jego ojciec.

„Tyleśmy wytrzymali, to dojedziemy do Warszawy” – mówi próbującemu ją powstrzymać lekarzowi za siebie i jeszcze nienarodzonego syna.

OJCIECSIĘ DOWIEDZIAŁ

Zaufany fryzjer ścina i farbuje jej włosy na rudo. Dostaje lewe dokumenty. Pociąg do Warszawy odpada – gestapo kontroluje dworzec. Do Lwowa przyjeżdża Tadeusz Semadeni, sędzia konspiracyjnego sądu AK. Ciężarówką wywozi ją z miasta. Pięćdziesiąt kilometrów za Lwowem wsiadają do pociągu do Przemyśla. Potem jeszcze trzykrotnie zmieniają pociągi, jadą krótkimi odcinkami. Przed Radomiem konduktor zauważa,

że legitymacja Kochańskiej jest nieważna, i każe jej wysiąść na następnej stacji.

Zofia nie traci opanowania: beztroskim tonem prosi o pomoc sąsiadki, rozmawiające na korytarzu wagonu z gestapowcami. Kończy się na stu złotych grzywny. „Na drugi raz trzeba uważać!” – radzi jej jeden z gestapowców. Do Warszawy docierają linią EKD z Milanówka.

Boże Narodzenie Zofia spędza w Warszawie, ukryta w prowadzonym przez siostry zakonne „Macierzyństwie” na Hożej. 4 stycznia 1944 roku rodzi syna Maćka. Dziecko zostaje ochrzczone w katedrze św. Jana jako Maciej Wanicki.

Więziony na Pawiaku Jan Kochański jeszcze w styczniu 1944 roku dowiaduje się o narodzinach syna. Cieszy się nim krótko. 16 lutego 1944 roku cichociemny „Maciek” zostaje rozstrzelany w ruinach getta.

UJAWNIEŃ U RÓŻAŃSKIEGO

Zofia Rapp-Kochańska ukrywa się do wybuchu powstania – poszukiwana przez gestapo, wielokrotnie zmienia adresy. Z walczącej Warszawy latem 1944 roku wychodzi z chorym na odrę Maciusiem. Znajdzie się w obozie w Pruszkowie, ale ucieknie z dzieckiem i doczeka końca wojny.

W 1946 roku ujawnia się. Jej przeszłością, ale zapewne i nią samą, interesuje się osławiony sadysta, major Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (UB) Jacek (Józef) Różański. „Major Różański wprowadził się mną interesował, ale przez dłuższy czas bez wzajemności” – wspominała w 1984 roku.

Zofia Rapp-Kochańska składa mu wizytę w 1946 roku w siedzibie ministerstwa na Koszykowej 16. Na wszelki wypadek zabiera ze sobą korespondenta prasy amerykańskiej Molskiego.

„Bała się pani przyjść sama?” – pyta ją Różański.

„Nie bałam się gestapo, a bałabym się pana, polskiego oficera?” – odpowiada Zofia. „Pan Molski jest wścibski, uparł się zobaczyć, jak wygląda ujawnienie”.

A wygląda tak: Różański czyta jej z kartki, co UB o niej wie. Gdy dziennikarz dopytuje, czy Rapp-Kochańska będzie mogła wyjechać

do Stanów, Różański rozkłada ręce: „Ależ naturalnie! Pani nas nie interesuje... a i płakać po niej nie będziemy!”.

UB wie jednak, co robiła Zofia podczas wojny. Trzy dni później jej mieszkanie w Gdańsku-Wrzeszczu odwiedza trzech tajniaków, ale nie zastają Rapp-Kochańskiej. Mają pecha: naprawdę mieszka w Warszawie. Na tej samej ulicy co Różański.

ŻONA PO RAZ TRZECI

W 1946 roku Zofia poznaje w Gdańsku starszego o trzy lata Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, oficera Armii Krajowej i uczestnika Powstania Warszawskiego, dwukrotnie odznaczonego Orderem Virtuti Militari. Ścibor-Rylski odbiera właśnie w Gdańsku pięćset samochodów z UNRR-y. Zofia wpada w oko oficera z piękną wojenną kartą. Pobierają się w 1948 roku. Nie mają więcej wspólnych dzieci, wychowują razem Maćka. Zofia wraca z rodziną do Poznania, miasta swojej młodości. Zamieszkają przy Wrocławskiej.

W 1963 roku przenoszą się do Warszawy, kupują dom w Radości. Zofia Ryłska prowadzi warsztat rzemieślniczy w Warszawskiej Spółdzielni „Reflex”. Maciej kończy w 1968 roku Akademię Sztuk Pięknych, buduje dom w Miedzeszynie, ściąga matkę z mężem. W 1991 roku Hanna Kramarczuk z TVP kręci film dokumentalny o Marie Springer – o jej roli w czasie wojny dowiaduje się wtedy po raz pierwszy cała Polska.

Zofia Rapp-Kochańska-Ryłska umiera w Warszawie w 1999 roku.



TAJEMNICA „RÓŻY”

Dwa razy egzekutorzy Polski Podziemnej jechali z Warszawy do Poznania, by ją zgładzić. Bezskutecznie. Czy Halina Cimino rzeczywiście zdradziła na gestapo?

Listopad 1941 roku, okupowany Poznań. Gestapo zatrzymuje Halinę Cimino, lat czterdzieści, włoską obywatelkę polskiego pochodzenia, oraz jej męża Zbigniewa Kłosa, adwokata zatrudnionego w niemieckiej kancelarii. Niemieccy bezpieczniecy znajdują u Kłosa 5000 dolarów i biżuterię. Gestapo podejrzewa, że Cimino przywiozła je z Rzymu na potrzeby konspiracji. A jednak po kilku dniach gestapowcy wypuszczają Włoszkę, a potem jej męża.

Dla poznańskich konspiratorów to czytelny sygnał: Cimino zdradziła i trzeba „spalić” wszelkie kontakty. Czy jednak na pewno? Spór o to trwa do dziś.

ŻONA DYPLOMATY IDOLO

Na jej jedynym zachowanym zdjęciu widać blisko czterdziestoletnią blondynkę o poważnym spojrzeniu i zaróżowionych policzkach. Według przyjaciół z konspiracji zawsze miała powodzenie wśród mężczyzn. Imponowała im pewnością siebie, stylem bycia, modnymi sukniami i światowymi manierami.

Halina urodziła się 12 października 1901 roku w Poznaniu. Była córką Wiktora Jagielskiego i Marii z domu Piechowiak. Jej ojciec w okresie międzywojennym był właścicielem jednego z poznańskich hoteli. W 1920 roku zdała maturę w prywatnej szkole ogólnokształcącej przy placu Świętokrzyskim (obecnie Wiosny Ludów). Po studiach filologicznych w Dreźnie wróciła do Poznania. W 1926 roku wyszła za mąż za Idolo Cimino, dyplomatę włoskiego, późniejszego konsula.

Włoskiego męża poznaje podczas pobytu w Szwajcarii, w sanatorium w Davos. Idolo Cimino jest radcą ambasady włoskiej w Szwajcarii. Małżeństwo Cimino mieszka najpierw we Włoszech, a potem w Szwajcarii. Dzięki mężowi Halina poznaje wielu wpływowych ludzi w Rzymie i Berlinie, bywa też w berlińskiej nuncjaturze papieskiej. Te kontakty już niebawem okażą się bezcenne.

Małżeństwu Cimino nie dane jest jednak długie wspólne życie. Mąż Haliny jest ciężko chory, przez kilka lat walczy z gruźlicą. Kiedy umiera w 1939 roku, Halina wraca na stałe do Poznania.

KURIERKA DO WATYKANU

Gdy wybuchają wojna, Halina Cimino ewakuuje się do Warszawy i jako obywatelka włoska zgłasza do dyspozycji w ambasadzie włoskiej. Dyplomaci Duce jednak jej nie potrzebują. Jesienią 1939 roku – via Skierniewice – wraca do Poznania. Jako obywatelka włoska mieszka w domu rodziców przy Szamarzewskiego 23. W tym czasie kilka razy podróżuje do Berlina, w jakim celu – nic pewnego nie wiadomo. Być może odwiedza ambasadę włoską lub nuncjusza papieskiego. Wiadomo, że 1 października Zofia Prądyńska, pseudonim „Jadwiga”, łączniczka tajnej organizacji o profilu narodowym „Ojczyzna”, kontaktuje Cimino z biskupem Walentym Dymkiem i księdzem infułatem Józefem Prądyńskim. Ten ostatni przyjmuje od Cimino przysięgę.

„Ojczyzna” skupia kilkuset polskich intelektualistów, sympatyzujących przed wojną z endecją i ideą powrotu Polski na ziemie zachodnie. To elita Poznania. Początkowo stawiają sobie za zadanie informowanie rządu emigracyjnego i świata o wysiedleniach Polaków, zbrodniach niemieckich i terrorze okupanta, a później także opiekę społeczną i lekarską (m.in. dzięki środkom z Watykanu) oraz tajne nauczanie.

Cimino otrzymuje pseudonim („Siostra Zosi”, potem także „Róża”) i zadanie zorganizowania łączności między Poznaniem a Watykanem. Poza zadaniami natury kościelnej „Siostra Zosi” ma także podróżować jako kurier polityczny pomiędzy Poznaniem a Stolicą Apostolską. Cimino organizuje punkty kontaktowe w Berlinie i Szwajcarii. W stolicy Niemiec może liczyć na nuncjaturę papieską – i na podkochującego się w niej od lat ambasadora Włoch Dino Alfieri.

Na początku lipca 1940 roku dostaje kolejne zadanie: zaprzysiężona do Związku Walki Zbrojnej ma na polecenie pułkownika Rudolfa Ostrihanskiego „Ludwika” utrzymywać łączność z Oddziałem II Sztabu

Naczelnego Wodza (wywiadem wojskowym).

INWESTYCJA NA PRZYSZŁOŚĆ

Dzięki włoskiemu paszportowi Halina Cimino bez problemu podróżuje po Europie okupowanej przez Niemcy. Wywozi do Włoch mikrofilmy, które później trafiają z Rzymu do Londynu („sporządzaliśmy je na leikowskich filmach zredukowanych – acetonem usuwało się celulozę, zostawiając tylko warstwę światłoczułą” – wspominał Kirił Sosnowski, jeden z liderów „Ojczyzny”). Do Watykanu, dla Prymasa Polski Augusta Hlonda, przewozi m.in. obszerny memoriał przedstawiający represje niemieckie wobec duchowieństwa na okupowanych obszarach zachodniej Polski. Opracowanie przygotowuje przez dwa dni Aleksander Rogalski, „zamelinowany” w mieszkaniu członka „Ojczyzny” Kazimierza Lesińskiego na Ostrowie Tumskim.

W drogę powrotną Cimino też zabiera mikrofilmy – na jednym z nich do Poznania trafia odezwa gen. Sikorskiego, Naczelnego Wodza.

Podczas pobytu w Szwajcarii lub Włoszech Cimino odbywa specjalne szkolenie wywiadowcze i kurs szyfrowania. Nowe umiejętności przydają się wiosną 1941 roku w Berlinie. Cimino ma dostarczyć do nuncjusza papieskiego specjalny memoriał o sytuacji Kościoła w Wielkopolsce. Czuje się jednak śledzona przez tajniaków. Wpada wtedy na pomysł – zamawia kwiaty dla nuncjatury, a memoriał wkłada w kopertę załączoną do bukietu. Kwiaty z dokumentem trafiają dziesięć minut później do drzwi nuncjusza. Cimino obserwuje ten moment bezpieczna z pobliskiej kawiarni.

„Po wojnie będę chyba pisać powieści sensacyjne” – zwierza się później Zofii Prądyńskiej, swojej przyjaciółce z konspiracji.

W ramach akcji maskowania się Cimino – na rozkaz przełożonych – działa aktywnie w zarządzie Koła Kolonii Włoskiej w Poznaniu. Utrzymuje też oficjalne kontakty z niemiecką policją bezpieczeństwa i gestapo.

„Była przygotowywana do zadań perspektywicznych Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie [wywiadu – red.]. Zobowiązana do zachowania tajemnicy, nie ujawniała tych faktów w poznańskiej

konspiracji” – napisał dr Marian Woźniak, autor „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”.

Kontakty Cimino z gestapo niepokoją konspiratorów „Ojczyzny”. Mimo to do września 1941 roku „Róża” podróżuje nadal w misjach kurierskich między Wielkopolską a Włochami.

Prawdopodobnie wiosną 1941 roku bierze ślub ze swoją dawną miłością – adwokatem Zbigniewem Kłosem. Romans trwa od kilku lat. Halina poznaje Zbigniewa jeszcze za życia poprzedniego męża. Ślub jest potajemny, bo Cimino musi zachować włoskie nazwisko i obywatelstwo – inaczej nie mogłaby jeździć jako kurierka.

WYPUSZCZONA Z GESTAPO

Niemcy są na tropie „Ojczyzny” i Delegatury Rządu RP. Od września 1941 roku do kwietnia 1942 roku gestapo aresztuje większość przedstawicieli Delegatury dla Ziem Polskich Wcielonych do Rzeszy. Delegatura ulega rozbiciu.

W listopadzie 1941 roku gestapowcy niespodziewanie robią nalot na biuro niemieckiego adwokata Kindlera na Wilhelmsalee (dziś Aleje Marcinkowskiego). Pracuje tam Zbigniew Kłos. W szufladzie jego biurka tajniacy znajdują damski bucik na koturnie. W obcasie odkrywają 5000 dolarów i biżuterię, którą Cimino przywiozła z Włoch na potrzeby konspiracji.

Choć mąż Cimino nie jest członkiem podziemia, gestapowcy aresztują go. Wkrótce mają też Halinę Cimino.

W obronie Cimino wstawia się delegacja kolonii Włochów z Poznania. Gestapo wyrzuca jednak Włochów za drzwi. Przybysze słyszą od śledczych: „Ona jest wmieszana w aferę międzynarodową najwyższej skali!”.

Tymczasem kilka dni później śledczy gestapo... zwalniają Cimino! Być może dlatego, że żaden z aresztowanych członków Delegatury Rządu na Kraj nie wymienił jej nazwiska. A może dlatego, że ma ona „doskonale opracowane alibi” przez polski wywiad (tak uważał znawca tematu dr Marian Woźniak).

Po zwolnieniu Cimino zachowuje się kontrowersyjnie. Zabiega o spotkanie z przedstawicielami organizacji. Dopytuje się wśród znajomych o warszawskie adresy Witolda Grotta i Kiriły Sosnowskiego. Ma podobno informacje i pieniądze, które musi przekazać organizacji.

Konspiratorzy z „Ojczyzny” nie wierzą Cimino. Podejrzewają, że zdradziła i za cenę ocalenia męża chce ich wystawić Niemcom. Juliusz Kolipiński, członek „Ojczyzny”: „Cimino była wypuszczona na wabia. [...] Przez jednego z kleryków, którego nazywałem »Człowiek z desek«, dowiedziałem się, że Cimino chce nawiązać kontakt z Delegaturą. [...] Cimino miała podobno pocztę i pieniądze dla Delegatury i ZWZ”.

Tymczasem kobieta jedzie do Warszawy. Szuka tam liderów poznańskiej konspiracji. Ci, uprzedzeni w porę przez Poznań, unikają kontaktu. Grott przed najściem gestapo na jeden z lokali kontaktowych przesyła jej kwiaty z bilecikiem: „Do zobaczenia po wojnie!”.

JAK PANI UDOWODNI?

Choć Kolipiński podejrzewa prowokację ze strony gestapo – po konsultacji z doktorem Franciszkiem Witaszkiem, wiceszefem Związku Odwetu, postanawia zaryzykować spotkanie z Cimino. Na przełomie stycznia i lutego 1942 roku, obserwowany przez Antoniego Horsta (na wypadek zasadzki), spotyka się z „Różą” w jej mieszkaniu na Jeźcach.

Jest późny wieczór, już po godzinie policyjnej. Cimino tłumaczy się: „Zostałam zwolniona przez gestapo z braku dowodów. Jestem obywatelką włoską, więc gestapo nie może stosować wobec mnie »chwytów« w śledztwie, jakie stosuje wobec Polaków”.

Kolipiński jej nie wierzy. Podejrzewa, że Cimino jest prowokatorem. Kiedy pyta ją, dlaczego Niemcy aresztowali także jej męża, nie daje przekonującej odpowiedzi. „Tym więcej upewniłem się, że jest nasłana przez gestapo” – wspominał Kolipiński po wojnie.

„Mam pieniądze dla Delegatury, zdeponowane na koncie w Ostbanku” – oświadcza kurierka. „Jako obywatelka włoska mogę posiadać takie konto”.

Kolipiński jeszcze przed spotkaniem sprawdza konto Cimino w Ostbanku:

okazuje się, że zostało zablokowane przez władze niemieckie. Kolipiński jest przekonany, że Cimino to gestapowska prowokatorka.

„Jak pani może mi udowodnić, że jest w porządku?” – pyta ją na odchodnym. („Nie pamiętam już, jaką mi dała odpowiedź” – zwierzy się po wojnie). Cimino zapewne powołuje się na swoje dotychczasowe zasługi. „Skontaktuję się z panią. Sądzę, że jest pani obserwowana” – mówi na koniec Kolipiński.

Po spotkaniu nikt go jednak nie aresztuje. Mimo to ma złe przeczucia. Podejrzewa, że Cimino zgodziła się współpracować z Niemcami, by uchronić męża. Informuje Witaszka, by ten nie podejmował kontaktu z „Różą”. Witaszek jednak ryzykuje: odbiera od Cimino pocztę dla Związku Walki Zbrojnej.

25 kwietnia 1942 roku tajniacy gestapo aresztują Witaszka w jego gabinecie przy Breslauerstrasse 5. Czy „gwoździem do trumny” było dla Witaszka spotkanie z Cimino? Nie wiadomo.

Kurierka nadal szuka kontaktu z Delegaturą Rządu. Kolipiński ostrzega towarzyszy: „Zerwijcie z nią kontakty i uciekajcie!”.

W połowie kwietnia do jego mieszkania wpada gestapo, ale Kolipińskiego już tam nie ma – zdążył wyjechać do Warszawy. Tym samym Delegatura Rządu na Ziemi Wcielone do III Rzeszy w Poznaniu przestaje istnieć.

WYROK I PRÓBY EGZEKUCJI

Członkowie „Ojczyzny” informują o dziwnym zachowaniu Cimino rząd w Londynie. Ten rozpoczyna śledztwo, które prowadzi Oddział II. Jednak nie potwierdzono podejrzeń. Ze względów bezpieczeństwa konspiratorzy zrywają jednak lub zamrażają kontakty z „Różą”.

Kolipiński wspominał, że Cimino utrzymywała w czasie wojny dobre relacje z Dinem Alfierim, ambasadorem Włoch w Berlinie. Często bywała we włoskiej ambasadzie w stolicy III Rzeszy. „W związku z tym dotarły do nas wiadomości, że była ona agentką wywiadu włoskiego” – relacjonował po wojnie.

Rząd polski w Londynie nie wierzy w załamanie się Cimino. Kurierka ma tam wielu obrońców, którzy pamiętają o jej wcześniejszych ogromnych zasługach dla polskiej konspiracji.

Konspiracyjny sąd Polski Podziemnej – mimo braku niezbitych dowodów winy – wydaje na nią wyrok śmierci. Dwa razy do Poznania przyjeżdżają ze stolicy ekipy egzekutorów. Obie akcje palą jednak na panewce. Cimino w tajemniczy sposób udaje się uniknąć egzekucji.

BEZ STUPROCENTOWYCH DOWODÓW

Czy Halina Cimino rzeczywiście zdradziła? Przekonany o tym był Kirił Sosnowski, jeden z liderów „Ojczyzny”. W spisanych po wojnie wspomnieniach Sosnowski o Cimino wypowie się nader lakonicznie: „pełniąca doskonale swoje funkcje aż do chwili aresztowania (kiedy się niestety załamała)”. Zdaniem innych członków organizacji Cimino miała pójść na współpracę, by ocalić drugiego męża (został później wypuszczony przez gestapo).

– Sprawa Cimino była co najmniej podejrzana – ocenia Aleksandra Pietrowicz z Instytutu Pamięi Narodowej, specjalizująca się w dziedzinie Polskiego Państwa Podziemnego w Poznaniu. – Jeśli za kilka niepodległościowych gazetek można było wtedy dostać kilka lat obozu, a tu osoba obciążona znacznie poważniej wychodzi po kilku dniach z gestapo, to znaczy, że musiał tam zostać zawarty jakiś układ.

Pietrowicz zaznacza, że nigdy nie było „stuprocentowych dowodów”, że kurierka zdradziła: – Jednak sąd wojskowy Polski Podziemnej musiał mieć „mocny materiał”, skoro skazał ją na karę śmierci. Ci ludzie nigdy nie ferowali pochopnych wyroków.

Wskazuje też na relację pochodzącą od jednej z uwięzionych w Forcie VII działaczek „Ojczyzny”, którą Niemcy wykorzystywali do sprzątania Domu Żołnierza, siedziby gestapo. Według niej Cimino miała być widziana w Domu Żołnierza w „niedwuznacznej” sytuacji z jednym z gestapowców.

Nieżyjący już Marian Woźniak, członek grupy historyków badających losy żołnierzy Armii Krajowej w Wielkopolsce, uważał jednak, że Cimino

nie poszła na współpracę z gestapo. A podejrzania wobec niej wzięły się stąd, że poznańscy konspiratorzy nie byli wtajemniczeni we wszystkie zadania wywiadowcze jej przydzielone. – Woźniak był przekonany, że Halina Cimino została zwerbowana w Rzymie przez wywiad angielski i to uchroniło ją przed karą – przyznaje Pietrowicz.

UCIECZKA PRZED UB

Ustalenia Woźniaka potwierdzałyby dalsze losy „Róży”: od stycznia do marca 1945 roku Cimino współpracuje bowiem z wywiadem Komendy Głównej AK.

Wiosną 1945 roku Juliusz Kolipiński, Kirył Sosnowski i Jan Jacek Nikisz, działacze „Ojczyzny”, składają w prokuraturze w Poznaniu zeznania obciążające Cimino. Zarzucają jej współpracę z gestapo. „Róży” poszukują funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Udaje im się aresztować jedynie jej męża (wkrótce zostaje zwolniony).

Cimino pomaga Delegatura Sił Zbrojnych – tajna organizacja założona przez byłych oficerów rozwiązanej Komendy Głównej AK. Wspólnie z Brytyjczykami organizuje jej przerzut przez Berlin do Anglii. Przez następny rok służy w Polskim Korpusie Przysposobienia. Na przełomie 1946 i 1947 roku wyjeżdża wraz z mężem do Kanady.

O jej ostatnich latach wiadomo niewiele. Pod nazwiskiem Kwiatkowska pracuje jako pielęgniarka w jednym z kanadyjskich szpitali. 2 czerwca 1951 roku umiera na atak serca. Tajemnicę wyrwania się ze szpon gestapo zabiera więc do grobu.



HISTORIA ZDRADY „ALEKSA”

Zenon Ciemniejewski był zafascynowany III Rzeszą. W gronie Wielkopolan zdrajców był postacią „najwybitniejszą”...

Wiosna 1941 roku. Narodowa Organizacja Bojowa, podziemna organizacja zbrojna wielkopolskich narodowców, liczy w Poznaniu i „terenie” prawie 30 tys. członków. NOB czeka na moment załamania się III Rzeszy, by wzniecić kolejne w polskich dziejach powstanie.

Niespodziewanie na organizację spadają masowe aresztowania – do marca Niemcy zamykają ośmiuset sześćdziesięciu ośmiu członków NOB, potem kolejnych dwustu czterdziestu pięciu. Organizacja zostaje rozbita. Pracę rozbitków po NOB kontroluje poznańskie gestapo, które prowadzi intensywne śledztwo. Niemcy doskonale orientują się we wszystkim. Efekt – sto sześćdziesiąt siedem wyroków śmierci. W sumie w hitlerowskich więzieniach zginie ponad tysiąc członków NOB.

Po wojnie ocaleli z pogromu członkowie NOB podejrzewają się nawzajem o zdradę. Nie przypuszczają, że prawda może być tak dramatycznie prosta.

CZARNA TECZKA

Czerwiec 1956 roku. Zbuntowani przeciw komunistycznej władzy poznaniacy plądrują pomieszczenia należące do Urzędu Bezpieczeństwa oraz Komitet Wojewódzki PZPR. Na ulice wyrzucają tajne dokumenty, które próbują spalić. Nie wszystkie materiały zostają jednak zniszczone. Do rąk prof. Zdzisława Grota, historyka z Uniwersytetu A. Mickiewicza (zmarł w 1984 roku), trafia tajemnicza, poważnie nadpalona, czarna teczka. W środku – meldunki z lat okupacji pisane dla gestapo przez agenta o pseudonimie „Aleks”.

W meldunkach znajduje się kompendium wiedzy o podziemnej organizacji narodowców z lat 1940–1942: podział na dzielnice, okręgi, grupy, taktyka działania, imienne wykazy poszczególnych funkcji wraz z szyfrem literowym i liczbowym. Z dokumentów wynika, że agent „Aleks” jest członkiem sztabu Armii Narodowej (pierwotna nazwa NOB), zaufanym współpracownikiem komendanta, majora Antoniego Wolniewicza. I że odpowiada za komórki organizacji w powiatach: Nowy Tomyśl,

Wolsztyn, Śrem i Kościan.

– To była teczka personalna jednego z najgroźniejszych agentów gestapo w Poznaniu, Zenona Ciemniejewskiego – opowiada Jerzy Zielonka, dziennikarz „Panoramy Leszczyńskiej” – Prof. Grot przekazał teczkę młodym historykom poznańskim. W 1972 roku pokazał mi ją dr Bogusław Polak, dziś profesor i członek kolegium IPN-u. Nie ulegało wątpliwości, że dotyczy Zenona Ciemniejewskiego. Zgadzały się wszystkie daty.

KOŚCIAŃSKI TROP

Zielonka poszedł kościańskim tropem działalności Ciemniejewskiego. Dotarł do świadków.

„Dałbym się za niego zarznąć [...]. Wzrost 1,70–1,75. Ciemny blondyn o pociągłej twarzy lekko zaokrąglonej. Swobodny, pewny siebie w obejściu. Zwróciłem uwagę, że interesował się naszymi wojennymi przeżyciami z 1939 roku, ciekaw był dalszych naszych losów” – opisał Ciemniejewskiego, „łącznika z Poznania”, Edward Stróżyk spod Kościana, który spotykał się z nim w czasie wojny.

„Aleks” był aktywny: jeździł w teren i organizował nowe komórki NOB, a potem meldował o wszystkim gestapo. Zdaniem Zielonki, Ciemniejewski odpowiada za: dekonspirację tajnej drukarni w Poznaniu, rozpracowanie i aresztowanie przez Niemców członków organizacji w Śremie, Bydgoszczy, Gnieźnie, Kościanie i Lesznie. Do listy „zasług” Ciemniejewskiego „Encyklopedia Konspiracji Wielkopolskiej” dorzuca również dekonspirację komórek NOB w Ostrowie Wielkopolskim, Jarocinie, Gostyniu, Środzie i Dolsku. Jego meldunki były precyzyjne: miał wszak informacje „z pierwszej ręki”. Zdekonspirował m.in. Edwarda Fabiańczyka, kościańskiego komendanta Armii Narodowej. Gestapo zabrało go z firmy win i wódek Arthura Schienkego w Kościanie, w której pracował. Fabiańczyk przeszedł ciężkie śledztwo w poznańskim Forcie VII. Stracono go 21 sierpnia 1942 roku.

Podobny los spotka całe kierownictwo NOB.

AS GESTAPO

Marian Woźniak ustalił, że Ciemniejewski przeszedł na stronę Niemców już w grudniu 1939 roku. Dlaczego zdradził? – Już przed wojną był zafascynowany III Rzeszą, jej gospodarką. W odróżnieniu od swoich kolegów narodowców, którzy uznawali dwóch wrogów: Niemcy i Rosję, on uważał, że wróg jest tylko jeden, na Wschodzie. I był pazerny na dobra doczesne – tłumaczy Jerzy Zielonka.

Zmobilizowany do wojska we wrześniu 1939 roku, Ciemniejewski zbiegł z armii jeszcze w trakcie kampanii. W listopadzie 1939 roku był wśród założycieli NOB w Poznaniu. Już wtedy postanowił zmienić front. „Między 4 a 5 grudnia 1939 roku nawiązał w nieznanych okolicznościach kontakt z komisarzem Ludwigiem Braunem z gestapo w Poznaniu, deklarując gotowość współpracy” – czytamy w „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”.

Początkowo Ciemniejewski przekazuje gestapo informacje o nastrojach wśród Polaków oraz o ukazującej się w Poznaniu prasie podziemnej. Ma świetne rozeznanie, bo sam jest współredaktorem „Polski Narodowej”. Dzięki niemu Niemcy drobiazgowo rozpracowują Narodową Organizację Bojową, a także inne grupy podziemne na Śląsku, Pomorzu i w Warszawie.

Gestapo chroni swojego agenta. Kiedy w grudniu 1940 roku rozpracowuje go kontrwywiad Związku Walki Zbrojnej, dzięki zręcznej grze operacyjnej Ciemniejewski unika rozpoznania przez polskich wywiadowców. Rewanżuje się Niemcom w 1942 roku, gdy przyczynia się do rozpracowania okręgu poznańskiego Armii Krajowej i aresztowania porucznika Tadeusza Janowskiego oraz majora Jerzego Kurpisa. W czasie rewizji w mieszkaniu tego drugiego gestapo zdobyło część archiwum AK.

Janowski zginął powieszony w Forcie VII, Kurpisz po nieudanych próbach samobójczych podjął współpracę z gestapo (zginął zastrzelony przez patrol AK w Warszawie).

ZBIERAŁ DO KOŃCA

Gdy gestapo rozbija poznańską AK, „Aleks” jest już volksdeutschem.

W lipcu 1941 roku zostaje z rekomendacji gestapo wpisany na volkslistę. Agent gubi jednak pewność siebie i zachłanność.

Dwa lata później, latem 1943 roku, zostaje zatrzymany za kradzież jednemu z Niemców cennej kolekcji filatelistycznej. Gestapo ujawnia, że współpracę z Niemcami „Aleks” wykorzystywał do szantażowania Polaków. Aresztowany i poddany ciężkiemu śledztwu zmarł w Domu Żołnierza 27 lipca 1943 roku.

– Jeszcze siedząc w Forcie VII, zbierał informacje o swoich współwięźniach
– twierdzi Zielonka.



ZASYPALIŚMY ICH GRZECZNIE

*Powiedzieli mi, że jeśli chcę coś dla Polski zrobić, to muszą mi
zmienić nazwisko.*

P przed wojną nazywałem się Teofil Dolata, a teraz Teofil Rubasiński, major rezerwy. Opowiem może, jak to się stało, jak uciekałem. Ta kobieta była miejscowa, ale powiedziała po polsku: „Czy pan wie, że tu, za płotem, leżą polscy oficerowie, trzy i pół tysiąca oficerów? I że pomordowali ich wiosną 1940 roku?”.

Nie uwierzyłem, zacząłem z niej drwić, a Peter, Niemiec, z którym pracowałem, jak mu przetłumaczyłem, co ona chce, powiedział tylko: „Bzdury! Wasi oficerowie są w naszych oflagach. Jak wygramy wojnę, wrócą do domu”.

DOLATA Z BAUZUGU ODKRYWA KATYŃ

Ta kobieta zdenerwowała się i poszła sobie. Ale drugiego dnia przyniosła w fartuchu czapkę oficerską. Mówiła, że wyrzucił ją z transportu polski oficer. Przesadzali go do „wrony”, samochodu do przewozu więźniów, a on rzucił czapkę i krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Ta kobieta pochodziła z Brześcia, wyszła za męża za rosyjskiego listonosza. W środku czapki było wypisane nazwisko Kaczmarek, przydział wojskowy i miejscowość: Włodzimierz na Wołyniu.

Z tym Niemcem, Peterem, pracowaliśmy w wagonie-kuźni. Kuliśmy na ogniu kilofy na front.

Jak się tam dostałem, opowiem za chwilę.

W niedzielę mieliśmy wolne, więc z kolegą Janem Wachowiakiem wzięliśmy kilof i łopatę i poszliśmy szukać zwłok. Weszliśmy na ogrodzony teren NKWD, szliśmy po torach, które prowadziły w środek lasu. Znaleźliśmy wysoki nasyp. Zabraliśmy się do kopania. Zwłoki były, ale w niebieskich mundurach. Prawdopodobnie Rumuni. Zasyпалиśmy ich grzecznie. Mieliśmy stracha, wokół las. Wracamy, a tu idzie staruszek z brodą. Nazywał się Kisielew. Daliśmy mu papierosa i drugiego na zapas, zaprowadził nas jakieś osiemset metrów dalej. Nasyp wysoki na 30–40 centymetrów, obsadzony małymi świerkami. Myślę, że Kisielew sam te

świerki sadził. Płytko leżeli. Twarzami do dołu, jeden miał pół głowy, z tyłu czaszka roztrzaskana, bez mózgu. Ciała jeszcze były, koloru zgniłej pomarańczy. Mundury z wierzchu jeszcze dobre, a od spodu zgnite. Wszystko aż parowało. Odkopaliśmy majora i kapitana. Poznaliśmy po pagonach.

Patrzyliśmy na to z dwadzieścia minut. Jak wcześniej mieliśmy sympatię dla Rosjan, bo bili się z Niemcami, tak wtedy nam się zmieniło. Nawet przestaliśmy częstować miejscowych cukrem, sacharyną. Zwłoki przykryliśmy, postawiliśmy krzyż z brzozy, zmówiliśmy „Wieczne odpoczywanie” i wróciliśmy do Bauzugu. Pytałem Kisielewa, skąd miejscowi wiedzą, że tu leży trzy i pół tysiąca Polaków. „Bo ludzie liczyli strzały” – powiedział. Mówił, że zakopanych w lesie może być znacznie więcej, bo nie wszyscy polscy oficerowie byli zabijani na miejscu.

A w Bauzugu było sporo ludzi, którzy przed wojną nie mieli pracy. Chwalili Związek Radziecki, że tam zawsze jest praca i dobre warunki. Kłócili się z tymi, którzy krytykowali Sowieców. Jak żeśmy opowiedzieli, co zobaczyliśmy, to nie chcieli wierzyć. Potem któryś z tych radykałów wziął grupę swoich i poszli sprawdzić. Postawili drugi krzyż i już więcej Sowieców nie wychwalali.

Niemcy zebrali nas potem i tłumaczyli, co Sowieci zrobili z polskimi oficerami w katyńskim lesie, choć do publicznej wiadomości podali to przez radio dopiero rok później, w kwietniu 1943 roku.

TO TERAZ POWIEM, JAK SIĘ TAM DOSTAŁEM

Jestem spod Poznania. Zimą 1941 roku spadł wielki śnieg, niemieckie transporty grzęzły i Niemcy szukali mężczyzn do odśnieżania torów. Wyciągnęli z domu mnie, brata i ojca i już nas na wiosnę z pracy na kolei nie wypuścili. Jak Niemcy napadli na Związek Radziecki, przyjechał z Monachium Bauzug nr 2005. Kazali mi wsiadać. Dla nas, Polaków, był jeden wagon podzielony na przedziały z dwiema pryzkami. Niemcy mieli swoje wagony. W pociągu było ich dziesięciu, a Polaków czterdziestu ośmiu. Ja miałem numer 41. Kierownikiem pociągu był Niemiec, inżynier Joseph

Zauner. Traktowali nas jak żołnierzy frontowych, bo należeliśmy do jakiegoś batalionu i cały czas byliśmy blisko linii frontu. Niemcy byli Bawarczykami, katolikami, odprawialiśmy wspólne nabożeństwa. Mój ojciec był kowalem na kolei, więc Niemcy uznali, że ja też umiem kuć, i dali mi robotę w wagonie-kuźni.

W styczniu 1942 roku nasz Bauzug nr 2005 dojechał do Smoleńska. Stanęliśmy w pobliżu stacji Gniezdowo, 8 km od frontu. Pracowaliśmy w Kozich Górach, w kurorcie NKWD położonym w lesie, z ładnym pałacem. Niemcy szykowali tam ponoć kwaterę dla Hitlera, a myśmy budowali odgałęzienie zwrotnicy.

Ta kobieta z czapką przyszła chyba w marcu, bo śnieg był jeszcze na polach. Nasz kierownik pociągu, inżynier Zauner, zaniósł czapkę do niemieckiego sztabu. A tam powiedzieli, że miejscowi kolejarze rosyjscy potwierdzili, że dowożono tu oficerów polskich i mordowano w lesie.

DWA RAZY HOP DO POCIĄGU

Zbudowaliśmy zwrotnicę do lasu, nasz Bauzug jechał dalej, na Moskwę. Pewnej nocy Rosjanie bombardowali nasz pociąg. Było zamieszanie. Zabrałem tylko rzeczy osobiste, coś do golenia, uciekałem w prawo, w lewo. Akurat jechał wolno ze wschodu pusty pociąg towarowy, wskoczyłem, schowałem się w kąciку. Tak przejechałem Smoleńsk i Witebsk.

Miałem płaszcz, prawdopodobnie łotewskich kolejarzy, dali nam je w Bauzugu. Nie wyglądałem więc już jak łachmaniarz. Dotarłem do pani Nowakowskiej w Brześciu. Znałem ją z 1939 roku, bo jako poznański robotnik dostałem pracę w filii Cegielskiego w Rzeszowie i wojna rzuciła mnie do Brześcia. Widziałem, jak weszli Sowieci, jak NKWD aresztowało dwie córki pani Nowakowskiej, były nauczycielkami, nie przeżyły wywózki.

Kiedy uciekłem z Bauzugu, w moim domu pod Poznaniem gestapo zrobiło już rewizję. Zabrali moje zdjęcia, moje rzeczy, nawet łyżwy i rower. Uznali mnie za dezertera. Stale sprawdzali, czy wróciłem. A ja zatrudniłem się w Brześciu na stacji jako wajchowy, bo brat pani Nowakowskiej miał dojścia na kolei. Ręcznie przestawiałem zwrotnice. Szefem był Niemiec.

Stacja była duża, z punktem odwyszawiania żołnierzy niemieckich wracających do Rzeszy. Wagony nieodwyszawione musiały stać osobno, więc tego biegania z wajchami było sporo.

Zatrudniłem się pod swoim nazwiskiem. Taki głupi byłem, ale nie miałem innych dokumentów. Trzeciego dnia szef mówi: „Żandarmeria cię szuka na stacji. Mam cię przyprowadzić”. Jeszcze nie wiedział, o co chodzi. Leciał akurat na zachód pociąg towarowy, więc hop i znowu wskoczyłem. Szef tylko krzyknął „Scheisse!” i machnął ręką. Przejechałem granicę Generalnej Guberni, dojechałem do Dębłina, a tam już Polacy.

KACZMAREK MIĘDZY SIOSTRAMI

Dostałem się do Radomia i zameldowałem się u trzeciej córki pani Nowakowskiej. Była żoną kierownika poczty. W dystrykcie radomskim Niemcy strasznie Polaków bili, jak któryś nie umiał się schować albo na ulicy Niemca ominąć. Znalazłem pracę w Skarżysku-Kamiennej. Były tam dwie fabryki: amunicji i karabinów. Zamieszkałem u wdowy, której syn był w partyzantce porucznikiem. Najpierw pracowałem przy produkcji lemoniady. Spałem w stodole, od właściciela zakładu dostawałem śniadanie i kolację. Na wiadukcie nad stacją kolejową spotkałem dyrektora mojej szkoły, wysiedlonego z Poznania inżyniera Czesława Danowskiego. „Tofuś, co ty tu robisz?”. Powiedziałem, że jestem w strasznej potrzebie życiowej. Pracował w Zjednoczeniu Okręgu Energetycznego Radomsko-Kieleckiego, tam pracowało mnóstwo krakowskich profesorów, którzy zamieniali się w rzemieślników, żeby ocaleć. Bo Niemcy inteligentów wyłapywali.

Inżynier Danowski obiecał, że poszuka mi jakiejś pracy, kazał mi czekać do wieczora. Poszedłem do mojej gospodyni po rzeczy, a ona mnie tuli do siebie: „Boże. Byli tu po ciebie!”. Niemcy szukali jakiegoś mantla, pewnie mojego płaszcza łotewskiego. Porozrzucali jej rzeczy po całym mieszkaniu, więc pomogłem posprzątać i wyprowadziłem się. Zamieszkałem na poddaszu hotelu Nur für Deutsche prowadzonego przez teściową jednego z pracowników ZOERK-u. Wpuścili mnie wieczorem, od tyłu. Chciałem wyjechać do Warszawy, bo miałem tam szkolnego kolegę o nazwisku

Czubek. Pamiętałem, że mieszkał na Żelaznej. Miałem dwadzieścia lat i tak sobie wymyśliłem, że powalczymy razem z Niemcami. Zabrałem się ze znajomym kolejarzem do Warszawy. To był sierpień 1942 roku. Woźnica spod dworca zawiózł mnie za darmo na Hożą, gdzie siostry franciszkanki z Szamotuł miały swój dom. Wiele sióstr pochodziło z Poznania. Przyjęły mnie śniadaniem, opowiedziałem o grobach naszych w Katyniu. Przekazały informację dalej, do konspiracji, a mnie skierowały do innego swojego domu w Pustelniku II pod Warszawą. Miały tam zakład położony na terenie dawnego szpitala. Duży obszar, 20 hektarów, ogrodzone, przy trasie kolejowej Warszawa – Radzymin. Nie wychylałem nosa poza zakład, bo dowiedziałem się, że moje zdjęcia wiszą po komisariatach żandarmerii.

Drugiego dnia Bożego Narodzenia przyszło dwóch ludzi z AK: porucznik Kowalski i pan Redlich pod zamienionym nazwiskiem Zamojski. Usłyszeli od sióstr, co widziałem w Katyniu. Zrobili mi zdjęcie do kenkarty i powiedzieli, że jeśli chcę coś dla Polski zrobić, to muszą mi zmienić nazwisko. Według nowej kenkarty nazywałem się Władysław Kaczmarek i urodziłem się w 1919 roku pod Śremem. Oni korzystali z metryk nieboszczyków, a metryki wyciągały siostry franciszkanki. Złożyłem przysięgę i zostałem żołnierzem Armii Krajowej. Nie sprawdzali mnie, wszystko wiedzieli od sióstr.

OKULISTKA ZAMYKA KACZMARKA W SZAFIE

W Pustelniku była fabryka braci Balickich (druga stała na Solcu). Siostry znały dobrze właściciela fabryki, który został zamordowany. To była fabryka papy i smoły, a ponieważ Niemcy potrzebowali tych materiałów na cele wojenne, fabryka nieźle prosperowała. Pracowałem na tokarce. W wolnym czasie produkowałem na niej sygnety AK z duralu i grzebienie do wyczesywania insektów. Poznałem tam moją żonę Janinę, nie żyje niestety już od dziesięciu lat.

Kolegom z pracy opowiadałem o Katyniu. Jedni wierzyli, inni nie. Ale jak w kwietniu 1943 roku wyszła gazeta, w której Niemcy napisali o Katyniu, to stałem się w pracy bohaterem. Dostawałem teraz dwie połówki jedzenia

i wszyscy mi się kłaniali. Kierownikiem zakładu był szef okręgu AK. Narysowałem jego ludziom szkic, co i gdzie odkryłem w Katyniu. Oni wysłali to do Londynu.

30 sierpnia 1943 roku spóźniłem się do pracy. Nie wiedziałem, jak się usprawiedliwić przed kierownikiem, więc pokazałem mu zaczerwienione oko. Dzień wcześniej coś mi wpadło i sobie mocno to oko podrapałem. Kierownik dał mi pieniądze i wysłał do Warszawy, na Smolną 8, do okulistki, kuzynki naszego szefa. Zabrałem się z transportem towarowym z panem Zacierką. Kiedy siadałem u okulistki w fotelu, wpadła kobieta: „Gestapo w szpitalu! Może po pana?”.

Lekarka znieczuliła mi oko, zamknęła w gabinecie i poszła na zwiad. Szukali chorego mężczyzny 20–26 lat. Otworzyła dolną część szafy, była pusta, u góry stały medykamenty. Strachu już nie miałem, do szafy wszedłem ze śmiechem. Okulistka szafę na klucz zamknęła i wyszła. Słyszałem trzaskanie sprzętami, rozmowę po niemiecku. Potem lekarka wypuściła mnie z szafy, widziałem ich przez okno, jak wyjeżdżali. Okulistka kazała mi wyrzucić opatrunek przy bramie, bo z opatrunkiem na oku zaraz mnie capną. Wracałem kolejką w kierunku Radzimina, a tu widzę – za Warszawą ktoś pędzi na rowerze po równoległej szosie, macha do mnie i coś woła. Nie dosłyszałem, ale czułem, że coś jest nie tak, i wysiadłem w Markach. Przy kapliczce stał jeden z moich kolegów: „Rany boskie, czekają na ciebie!”.

Okazało się, że gdy jechałem do kliniki na Smolną, Niemcy przyjechali po mnie do fabryki w Pustelniku. Dwa samochody ciężarowe gestapo. Otoczyli fabrykę, dali po twarzy kierownikowi, który mnie do Warszawy wysłał, i czekali. Ale się nie doczekali. Wyciągnęli tylko prof. Giezkę, żydowskiego muzyka, który mieszkał ze mną przy fabryce. Jak zobaczył Niemców, to zemdlał. Ale podobno przeżył wojnę.

NU, CHOROSZO, RUBASINSKI, NA GIERMANCA!

Znowu musiałem się ukrywać. Zacząłem służbę w kompanii w obwodzie AK „Obroza”. Decyzją dowódcy grupy AK porucznika Zygmunta

Nazarczenko zostałem wyróżniony. Powierzono mi zadania niezwykle. Na przykład przechodzenie granicy Generalnego Gubernatorstwa. Przeprowadzałem ludzi między Prusami Wschodnimi a Warszawą. Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, działałem w widłach Bugu i Narwi. Latem 1944 roku, jak przeprowadziłem przez Bug niejaką Dworakowską, po południowej stronie rzeki zastałem już Sowietów. Moich kolegów z AK już tu nie było, a PPR-owcy mieli już listy tych, którzy byli wrogami ustroju komunistycznego. Z oddziału, w którym byłem, pod moją nieobecność aresztowano pięciuset żołnierzy – wszyscy pojechali na Sybir.

Trzy miesiące przed wejściem Sowietów Armia Krajowa zmieniła mi dokumenty. Teraz byłem nie Kaczmarek, tylko Teofil Rubasiński. To znowu uratowało mi życie.

Pojechałem pod Warszawę szukać Janiny, mojej przyszłej żony. Nie spodziewałem się, że w tym samym podwórku, w którym mieszkał mój przyszły teść i moja panna, urzęduje NKWD. Od razu natknąłem się na dwóch sowieckich żołnierzy. Stali z bagnietami na sztorc. Mój teść dobrze mówił po rosyjsku, więc mnie ściągnął do domu. Miał syna Władysława, którego też NKWD szukało. Ledwo przywitałem się z teściem, ledwo mi powiedział, że Janka była w powstaniu, a tu do środka wchodzi rosyjski kapitan. „Synok?“, pyta mojego przyszłego teścia. „Nie synok“. Teść miał trochę samogonu, to mu nalał. Kapitan miał ze sobą spis osób poszukiwanych. Wziął moją kenkartę i porównywał z nazwiskami na liście. I proszę sobie wyobrazić, siedzę obok tego kapitana i z nim te nazwiska sylabizuję! Bo on czytać po polsku nie potrafił. Patrząc, a na liście jest Władysław Kaczmarek.

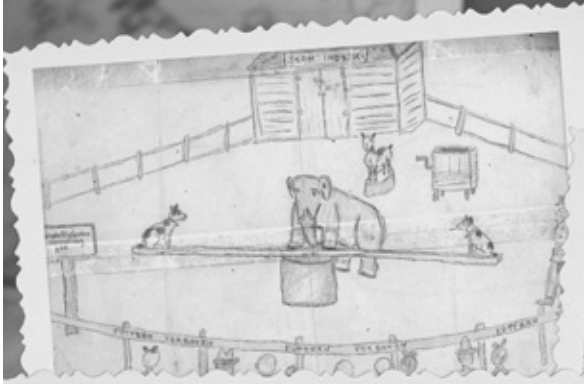
RUBASIŃSKIEGO, NA SZCZĘŚCIE, NIE BYŁO!

„Nu, choroszo, pójdziecie bić Giermanca“, powiedział kapitan i wypisał skierowanie do komisji wojskowej do Warszawy. Wtedy wszystkich młodych od razu mobilizowano. A ja chciałem walczyć. Wysłali mnie do Lublina, do podchorążówki. Nigdzie się do Katynia nie przyznawałem, a jeden z oficerów poradził, żebym się nie chwalił Armią Krajową. Każdy się

wtedy jakoś ratował.. A potem trafiłem na front, jako dowódca 8. Kompanii Strzeleckiej w 3. Batalionie 17. Pułku w 5. Dywizji wchodzącej w skład 2. Armii Wojska Polskiego, którą dowodził gen. Świerczewski. W kwietniu 1945 roku przekroczyłem Nysę Łużycką. Pamiętam ciężkie walki pod Budziszynem. Zostałem ranny w walkach o Sdier. Nad Łabą spotkałem się z Amerykanami.

Jak to możliwe, że przez tyle lat po wojnie nikt mnie nie zadenuncjował? Przez całe życie miałem wokół siebie ludzi życzliwych, a nie takich, którzy chcieliby mnie wsadzić. W czepku się urodziłem. Moja matka, która żyła dziewięćdziesiąt sześć lat, opowiedziała mi potem, jak ten czeppek wyglądał.

* Teofil Rubasiński zmarł 28 kwietnia 2013 r.



TATUŚ RYSUJE ŚWIAT. BEZ WOJNY

„Zobacz, teraz tu mieszkasz. Masz dzwonek i będziesz mógł dzwonić. Na listy nie ma już skrzynki, ale dziura we drzwiach. Na drugi raz Tatuś narysuje Ci więcej, jak powstawiamy meble”.

Trzydzieści trzy rysunki na pożółkłym, blokowym papierze. Kolorowymi kredkami wprawna dłoń narysowała poznańskie zoo, dworzec kolejowy, zakłady Cegielskiego. Ruchliwe ulice, mijające się tramwaje. Miasto zatrzymane w ruchu. Harmonia i spokój. I tylko niemieckie nazwy na znakach albo budynkach zakłócają pozorną sielankę.

– Zbierając materiały do książki o poznańskim Grunwaldzie, gościłem w willi państwa Małgorzaty i Jerzego Kowalskich na ulicy Ostroroga – opowiada dr Piotr Korduba, historyk sztuki z UAM. – Na koniec spotkania pan Jerzy podszedł do biblioteczki: „Mam jeszcze coś. Nie jest to nic wielkiego, ale może pana zainteresuje”. I wyciągnął zeszyt rysunków. Kiedy zacząłem je oglądać, oko mi się zaświeciło.

Korduba zobaczył unikalne rysunki z życia okupowanego przez Niemców Poznania. Zobaczył i się zachwycił: – Okazało się, że pan Jerzy nie zna dobrze tej historii. Podjąłem się rekonstrukcji wydarzeń.

UKRYTY NA WSI

Wrzesień 1939 roku, Jerzy Kowalski ma trzy lata. Jego ojciec, inżynier Antoni Kowalski, jest kierownikiem warsztatu parowozowo-mechanicznego w Cegielskim. Dostaje odpowiedzialne zadanie ewakuacji zakładów. Transport zostaje zbombardowany pod Kutnem.

Trzyletni Jurek wraz z matką Sabiną też ewakuuje się na wschód. Pod Łukowem (Lubelskie) z odwodnienia umiera jego półroczny braciszek Witold. Jurek tego nie zapamięta.

Powrót do Poznania, do willi na Ostroroga, w ekskluzywnej dzielnicy zamieszkaney przed wojną przez prawników i bankierów. Niemcy wysiedlają Polaków, ale inżynier z Cegielskiego jest zbyt cenny dla okupantów, by się go pozbyć. Kowalscy chwilowo utrzymują się w swoim mieszkaniu. Ich sąsiadem zostaje sam Adolf Schneider, dyrektor Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken (tak nazywały się teraz przejęte przez Niemców zakłady Cegielskiego). Gdy na Ostroroga przyjeżdża gestapo,

by aresztować Kowalskiego, Schneider wstawia się za inżynierem. Kowalski zostaje w domu, ale co pewien czas musi się meldować na gestapo.

Listopad 1940 roku, Kowalskich przesiedlają jednak do dwupokojowego mieszkania na Palacza 80. Niemcy pozwalają im zabrać część mebli i domowych sprzętów. Przesiedlenie decyduje o dalszych losach Jerzego. – Rodzice byli objęci przymusem pracy, nie mogli się opiekować synem. Zdecydowali się wysłać Jurka do Michała Kozłowskiego, brata matki chłopca. Kozłowscy z dwoma synami mieszkali na wsi, w Łazińsku, a potem we Włodzimirowie pod Słupcą – opowiada Korduba.

Co roku Jurek spędza wiosnę i lato pod Słupcą. Jesienią lub zimą wraca do Poznania. Pierwszemu przyjazdowi chłopca do Łazińska towarzyszy kamuflaż. Jako rzekomy trzeci syn Kozłowskich zostaje przystrzyżony przez fryzjera w Zagórowie na wzór kuzynów. Kozłowscy mają przy domu kawałek pola, kupują też krowę. Jurek nie chodzi głodny. Ciotka Teodora z wyciętych z niemieckich gazet ilustracji skleja elementarz. Jurek uczy się czytać i pisać.

PRZEPUSTKA DO SYNA

Poznańska fabryka DWM pracuje pełną parą na potrzeby Wehrmachtu. Antoni Kowalski musi pracować sześć dni w tygodniu. W zakładzie wyrabia sobie przepustki, dzięki którym w niedzielę może podróżować po Kraju Warty „w ważnych sprawach gospodarczych i militarnych”. To nadużycie, ale przecież chodzi o odwiedzenie syna. Sabina Kowalska, lekarz stomatolog, asystentka niemieckiego dentysty, na taką przepustkę nie ma szans. Odwiedza synka tylko raz.

Okupacyjna niedziela. Antoni Kowalski wstaje o świcie. O czwartej rano jedzie tramwajem z Palacza na dworzec kolejowy. Pociągiem dojeżdża do Słupcy, potem przemieszcza się autobusem, furmanką lub idzie pieszo. Na pobyt z synkiem zostaje mu niewielka część niedzieli. Spacerują, tulą się, rozmawiają. Wieczorem Antoni wraca pospiesznie do Poznania. W poniedziałek rano musi być w pracy.

Po powrocie do domu siada do stołu i rysuje. Temat wymyśla mu

najczęściej Jureczek. Rano gotowy obrazek z listem od ojca trafia do skrzynki pocztowej. We wtorek jest u Kozłowskich. Jurek ma wtedy co oglądać, a niekiedy i czytać.

Dla Kozłowskich list jest znakiem, że Antoni Kowalski przeżył podróż do domu.

JAWOHL! – MÓWITATUŚ

Małego Jurka fascynuje podróż, jaką ojciec odbywa do niego na daleką wieś. Inżynier rysuje synowi, w jaki sposób do niego przyjechał i jak, etap po etapie, wracał do Poznania. Na obrazkach widzimy, jak wsiada do tramwaju linii 14, by dojechać na dworzec kolejowy. Komentarz ojca: „Zegar pokazuje bardzo wczesną godzinę [czwartą – red.]. Jeszcze sobie dawno spał”.

Na innym rysunku mężczyzna w kapeluszu siedzi wygodnie na dwóch krzesłach. „Tatuś przyjechał na stację bardzo wcześnie, toteż wypoczywa sobie jak hrabia”.

Obrazek pokazujący, jak ojciec Jurka wraca do Poznania. „Maszeruje tatuś z wujciem po dużym piachu. Idziemy prędko, bo za późno wyszliśmy z domu. [...] Kto tu Jureczku marudził, jak tatuś wychodził?”.

Komentarz pod kolejnym obrazkiem: „Idzie Tatuś do Łądu i spotyka przed sobą pana, który prowadzi dwa rowery. Ten pan pyta się Tatusia: »Czy umie Pan jeździć na rowerze?«. »Jawohl« – mówi Tatuś. No to jedźmy do Słupcy. Tatuś już dawno nie jeździł na rowerze, toteż rower na początku jazdy kręcił mi się po całej szosie”.

Jeszcze inny obrazek: pociąg wjeżdża na dworzec z napisem „Grenzhausen” (niemiecka nazwa Słupcy). Obok chłopska furmanka wiezie kilka osób. Podpis: „Tatusiowi do Słupcy przyjechało się bardzo dobrze. Jechało nas dużo na wozie jak Żydków. Na stacji w Słupcy było bardzo dużo ludzi, ale tatuś miał miejsce siedzące. Zobacz, jakie śmieszne są zapory. Zamykają się z dwóch stron [...]”.

Korduba: – To wygląda na sielankę, ale w rzeczywistości podróże ojca do syna były pełne lęku. Po pierwsze dlatego, że problemem była zapewne

wiarygodność przepustki, a po drugie ojciec Jurka zawsze wracał, przewożąc w walizce jedzenie. A to było przecież zabronione.

ŻEBYŚ WSZYSTKO JADŁ

Przed wojną Jurek często chodził z ojcem podziwiać zwierzęta w zoo. Dlatego na obrazku ojca widać wybieg dla słonia. Na barierce napis: „Futtern verboten” (z niem. dokarmianie zabronione).

Na innym rysunku fabryka Cegielskiego. Obok niej pisana po polsku (!) reklama tranu leczniczego, wiatrak i buda z psem. – Pan Jerzy dowiedział się po latach od ojca, że ten sztafaż był potrzebny, by uniknąć ewentualnego uznania tego rysunku za materiał szpiegowski – wyjaśnia Korduba. – Ten rysunek dość wiernie pokazuje przecież fabrykę amunicji.

Komentarz ojca na odwrocie: „Kochany Jureczku! Aż się Tatuś zmęczył tym rysowaniem, a rysuję to wszystko dlatego, żebyś wszystko jadł, co Ci ciocia ugotuje, i żebyś się dobrze sprawował. Tatuś się bardzo cieszy, że robisz się coraz cięższy i żeś tak od razu zaczął ładnie pisać, że są te litery tak bardzo równe. Przyznaj się, kto Ci wtedy trzymał rękę, jak pisałeś do Tatusia te życzenia?”.

Inny rysunek: chłopiec przeskakuje przez mostek nad rowem. Obok prośba ojca: „Tatuś ci przypomina, że ta zabawa Tatusiowi się nie podobała, bo może ci się mostek załamać i wpadniesz do rowu. Mieciu! Pilnuj Jureczka! Tymczasem pa, Kochany Skarbunieczku!”.

CO BĘDZIESZ ROBIŁ, JAK PRZYJEDZIESZ

Lato 1942 lub 1943 roku. Kowalscy muszą się znowu przeprowadzić – tym razem do jednoizbowego lokum na Palacza. Ojciec rysuje więc Jurkowi ich nowe, jeszcze skromniejsze mieszkanie. O wojnie, przymusie czy biedzie nie ma w liście ani słowa. Na rysunku – pomieszczenie z oknem, w kącie leżą nierozpakowane bagaże. „Tatuś narysował ci coś ciekawego. Zobacz drzwi [...], teraz tu mieszkasz. Masz dzwonek i będziesz mógł dzwonić. Na listy nie ma już skrzynki, ale dziura we drzwiach. Na drugi raz Tatuś narysuje Ci

więcej, jak powstawiamy meble. Na kredensie postawiliśmy serwantkę, a na niej Twoją fotografię. Twój stoliczek stoi teraz pod oknem i na nim Tatuś rysował ten obrazek”.

Na innym rysunku widać ojca bawiącego się z synem pod stołem zamienionym w wigwam. Jeszcze inny rysunek zatytułowany: „Co to będziesz robił, jak przyjedziesz”. Pod spodem cztery rysunki: Jurek bawi się na fotelu, Jurek biegnie na podwórze „z laską, w kapeluszu tatusia”, Jurek reperuje coś w warsztacie, Jurek pisze list...

Korduba: – Tymi rysunkami ojciec zapowiadał synowi przyjemne wydarzenia: że niebawem znowu będą razem, że już jest przygotowany jego kąt. W ten sposób oswajał syna ze zmianami.

Małemu Jurkowi dni bez ojca dłużą się. Dostaje pocztą obrazek, na którym siedzą z ojcem na płocie, czytając książkę. „Jureczku, nie licz tych dni do przyjazdu Tatusia, bo nie zawsze się uda Tatusiowi przyjechać. Jedz dużo dla tatusia, pij mleczko i baw się z dziećmi [...]. Pa, Kochany Skarbunieczku!”.

TATUŚ RYSUJE, JUREK OCENIA

Rysunki i listy Antoniego Kowalskiego do syna nieodparcie nasuwają skojarzenie z filmem Roberta Benigniego „Życie jest piękne”. Ojciec Jurka, podobnie jak filmowy włoski Żyd zesłany z synem do obozu, dba o to, by zakamuflować przed dzieckiem straszną rzeczywistość.

– Trafne skojarzenie – potwierdza Korduba. – Ojciec Jurka chciał mu oszczędzić wojennej traumy, więc jego obrazki są sielankowe. Banalizują rzeczywistość, chronią chłopca przed wiedzą o tym, czym grozi życie w okupowanym Poznaniu. Sytuacje przymusowe, jak np. wysiedlenie czy praca ojca i matki, obracają w żart. A ryzykowną podróż ojca do syna przedstawiają jako wielką przygodę.

Choć świat na rysunkach jest uproszczony i pozbawiony zła, nieźle dokumentuje życie codzienne okupowanego Poznania. – Świetnie odwzorowane są tu trasy tramwajowe. Widzimy pętlę tramwajową na Górczynie, która powstała w 1942 roku. Bardzo dokładnie narysowana

jest okolica Palacza. Widzimy też wprowadzone przez Niemców drogi rowerowe – na skrzyżowaniu Lessingstrasse (Palacza) z Ziethestrassen (Jarochońskiego). Widać też moment sprowadzenia do Poznania letnich tramwajów, podarowanych przez miasto Norymbergę w 1943 roku czy zajezdnię na Głogowskiej.

– Ojciec rysował to, co „zamawiał” synek. Z rysunków można wnioskować, że Jurka interesowały kwestie inżynierskie. I jego ojciec też najlepiej się w tym czuł. Tramwaje, pociągi czy samochody są narysowane najlepiej, z ludźmi już było średnio, ze zwierzątkami gorzej – opowiada Korduba.

Notki ojca odczytywała chłopcu ciotka. Ojciec często umieszczał na swoich obrazkach zegary i napisy po niemiecku. Chciał, by Jurek uczył się jak najwięcej. I pisał.

Jurek odpowiadał jednak rzadko. Często za to wystawiał rysunkowi ojca ocenę, podpisaną skrótem „JK”. Bywał surowy w ocenach. Zdarzyło się, że wystawił ojcu dwa z plusem, a kilka rysunków zniszczył. – Prawdopodobnie te, które go zdenerwowały albo mu się nie spodobały. Dlatego na jednym z kolejnych rysunków znalazła się prośba ojca: „Nie niszczy tych rysunków, bo ja też je lubię i jeszcze będziemy się razem z nich cieszyć”. Podejrzewam, że ojciec traktował te obrazki jak zapis tamtego okresu życia – podsumowuje Korduba.

Nie sposób odtworzyć chronologii tej korespondencji. Rysunki nie mają już kopert. – Ale jeden rysunek można chyba uznać za końcowy: rodzice czekają na dziecko na dworcu kolejowym. Jurek musiał coś przeskrobać, bo ojciec trzyma za plecami pasek. Niezadowolony Jurek wyciął ten fragment i zamalował pasek – uśmiecha się Korduba.

PAMIĘĆ Z OBRAZKÓW

– Zupełnie nie pamiętam, o co wtedy chodziło. Z lat okupacji mam w pamięci czarną dziurę. Tamten świat znam tylko z obrazków ojca. Sam nie potrafię do nich nic dodać – mówi Jerzy Kowalski*. Doktor inżynier i wykładowca Politechniki Poznańskiej, specjalista w zakresie kapitału

intelektualnego. Pracował na uczelniach w Meksyku, Niemczech i Chile. Nie pamięta ani swoich wojennych pobytów na wsi, ani wizyt ojca i czekania na jego rysunki: – Widocznie byłem zbyt mały, a w moim życiu nie wydarzyło się nic tak dramatycznego, by zapisać się w pamięci.

Korduba: – Z fragmentów różnych rzeczywistości ojciec zbudował dla wyobraźni dziecka świat alternatywny. Zamysł ojca został zrealizowany, dziecko przeszło przez okupację bez traumy.

Po wojnie Antoniego Kowalskiego spotkały szykany. Zarzucano mu, że pracował w fabryce w czasach okupacji „dla Niemców”. Inżynier oszedł z Cegielskiego, zmarł w 1966 r.

Rysunki Antoniego Kowalskiego leżały przez lata w domu na Ostroroga. Jerzy sięgał po nie z rzadka. Miały jednak wpływ na jego życie: – Z rysunków ojca wzięło się moje zamiłowanie do modeli symbolicznych opisywanych zjawisk. A w trzeciej klasie liceum, gdy starałem się o lepszą ocenę na świadectwie maturalnym z rysunku, rysunki ojca były dla mnie źródłem inspiracji. Dostałem piątkę.

* Jerzy Kowalski zmarł 4 lutego 2013 r.



WOSKOWA PŁYTA HIMMLERA

– Ten naród musi zniknąć – oświadczył Himmler w październiku 1943 roku w Poznaniu. Po raz pierwszy przed dużym audytorium mówił bez ogródek i eufemizmów o wymordowaniu Żydów. Ale jego poznańskie mowy, które miały pozostać tajne, wyszły na jaw i stały się jednym z najmocniejszych dowodów w procesie norymberskim.

W Niemczech uczniowie analizują te przemówienia na lekcjach historii. Zrobiło się o nich głośno za sprawą berlińskiego festiwalu filmowego w 2000 roku. Niemiecki reżyser Romuald Karmaker postawił aktora Manfreda Zapatkę przed kamerą i na tle szarej ściany kazał mu czytać spokojnym głosem poznańską mowę Reichsführera SS. Widzowie wychodzili ze spektaklu wstrząśnięci.

DLACZEGO TRZEBA ZAMORDOWAĆ DZIECI

Na początku października 1943 roku pociąg specjalny Reichsführera SS Heinricha Himmlera zatrzymał się na kilka dni w przyłączonym do III Rzeszy Poznaniu. W stolicy Warthegau, czyli Kraju Warty, przywódca SS zamierzał wygłosić dwie ważne mowy.

4 października zwrócił się do najbardziej zaufanych – przywódców SS zebranych w Złotej Sali poznańskiego ratusza. Dwa dni później przemówił do wysokich rangą działaczy partii nazistowskiej – reichts- i gauleiterów NSDAP, którzy stawili się na Zamku Cesarskim.

W obu przypadkach Himmler przemawiał do wąskiego grona zaufanych, a temat był za każdym razem ten sam: sytuacja militarna, rola i zadania SS oraz sprawa ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, jak nazistowscy przywódcy określali wymordowanie europejskich Żydów.

„Stanęliśmy przed pytaniem: co z kobietami i dziećmi?” – mówił 6 października. „Zdecydowałem się znaleźć całkowicie jasne rozwiązanie także w tej kwestii. Nie uważałem się mianowicie za uprawnionego do tego, by wytępić mężczyzn – to znaczy zabić lub kazać zabić – jednocześnie pozwalając, by ich dzieci zemściły się kiedyś na naszych synach i wnukach. Trzeba było podjąć ciężką decyzję: ten naród musi zniknąć z powierzchni ziemi [...]. Wykonano ją, unikając [...] szkody, jaką mogliby ponieść na duszy i umyśle nasi ludzie i nasi przywódcy”.

PRZYJACIEL GREISERA

Dlaczego powiedział to akurat w Poznaniu? – Elita nazistowska chętnie pokazywała się w Poznaniu, podobnie jak w okupowanym francuskim Strasburgu – tłumaczy prof. Jan Maria Piskorski, historyk z Uniwersytetu Szczecińskiego, który analizował poznańskie przemówienia Himmlera. – Oba te miasta znalazły się w podobnej sytuacji. Oba zostały na powrót włączone do Niemiec, w obu założono tzw. uniwersytety Rzeszy, z których miała się rozchodzić myśl narodowosocjalistyczna.

A ponadto Himmler był w zażyłych stosunkach z Arthurem Greiserem, namiestnikiem Kraju Warty. Lubił go i odwiedzał w rezydencji w Jeziorach pod Puszczykowem, gdzie spacerowali nad Jeziorem Góreckim w asyście oficerów SS i Wehrmachtu.

Łączyło ich coś jeszcze – Greiser odpowiadał za pierwszą na polskich ziemiach akcję wymordowania 200 tys. wielkopolskich Żydów w obozie w Chełmnie nad Nerem. Jak się później okazało, zbrodnia ta była wstępem do Holokaustu.

Jesienią 1943 roku mordowanie Żydów na ziemiach polskich dobiegało już końca. Dlaczego zatem dopiero wtedy Himmler zdecydował się powiedzieć o Zagładzie podwładnym?

W krytycznej sytuacji Rzeszy pragnął włączyć ich do udziału w eksterminacji, ponieważ stawali się wtedy współsprawcami i podlegaliby karze, gdyby Rzesza została pokonana – pisze Peter Padfield, biograf Himmlera. W końcu 1943 roku – a więc po klęskach Wehrmachtu pod Stalingradem i Kurskiem – dla nazistowskich przywódców stawało się jasne, że III Rzesza wojny nie wygra. Front nieubłaganie przesuwał się coraz bliżej ku przedwojennym granicom Niemiec. Zwycięstwo aliantów, zwłaszcza w obliczu spodziewanego otwarcia drugiego frontu w Europie, stawało się kwestią czasu.

– W Poznaniu Himmler chciał podnieść morale swoich zabójców. Chciał tchnąć nowego ducha w SS. Wciąż miał nadzieję, że dzięki SS Niemcy wygrają wojnę – mówi prof. Piskorski. – Z drugiej strony armia niemiecka była w odwrocie i SS zaczynało się obawiać nie tylko wroga zewnętrznego, ale i Wehrmachtu. Że zacznie on szukać kozła ofiarnego. Mniej więcej w tym samym czasie generalny gubernator Hans Frank dowiedział się, że został

wciągnięty na listę zbrodniarzy. I przystąpił do fałszowania dokumentów.

BARDO TRUDNY ROZDZIAŁ

Holokaust nie okazał się głównym tematem obu przemówień, ale fragmenty poświęcone Żydom były najbardziej szokujące. Jak wynika z przytoczonego wyżej fragmentu przemówienia, 6 października Himmler tłumaczył partyjnym przywódcom, że Żydówki i ich dzieci trzeba wymordować, by nie zostawić przy życiu potencjalnych mścicieli.

Dwa dni wcześniej, podczas niemal trzygodzinnego przemówienia do oficerów SS, „ewakuacji” Żydów, jak nazywano Holokaust w języku urzędowym III Rzeszy, poświęcił kilka minut. I zastrzegł, że treść przemówień słuchacze mają zachować dla siebie. „Może kiedyś, znacznie później, będzie można się zastanowić nad tym, czyby nie powiedzieć czegoś więcej narodowi niemieckiemu. Myślę, że będzie lepiej, jeśli my – my wszyscy – weźmiemy to na siebie w imieniu naszego narodu, weźmiemy na siebie odpowiedzialność... A potem zabierzemy tę tajemnicę do grobu” – stwierdził Reichsführer SS.

Ten fragment określił jako „rozdział bardzo trudny”, o którym nigdy nie będzie można mówić publicznie.

– Próbował przekonać podwładnych, że ich poświęcenie dla ojczyzny, jakże trudne w wypadku wielkiego zbiorowego mordu, jest „chwalebłą kartą naszej historii”. Bez ogródek mówił, że Żydów trzeba było wytrzebić, gdyż chcieli zniszczyć Niemcy. Przekonywał, że w sytuacji, gdy na frontach są coraz większe trudności, a niemieckie miasta są coraz mocniej bombardowane, Żydzi znaleźliby się w pierwszych szeregach sabotażystów. I znów wbijałoby Niemcom „nóż w plecy”. Ale naturalnie nie wspominał o tym, że niemieccy Żydzi stanowili mniej niż jeden procent społeczeństwa i nie mogli mieć wpływu na wynik wojny – wyjaśnia prof. Piskorski .

Jak wspominał Baldur von Schirach, wieloletni przywódca Hitlerjugend i uczestnik spotkania w Poznaniu, Himmler mówił z lodowatym chłodem o wytępieniu mężczyzn, kobiet i dzieci jak kupiec o bilansie handlowym.

Posiedzenie zakończył Martin Bormann, człowiek będący prawą ręką

Hitlera, zapraszając kolegów do sąsiedniej sali na posiłek.

KTO PO ŻYDACH?

Gdy się dobrze wsłuchać w nagranie mowy Himmlera, można usłyszeć śmiechy, wyraźne zwłaszcza wtedy, gdy przywódca SS mówił, że wprawdzie wszyscy zgadzają się co do potrzeby likwidacji żydostwa, ale potem każdy, nawet w szeregach SS, wskazuje na jakiegoś znajomego Żyda i próbuje go chronić. Ten śmiech jest zrozumiały – Himmler zwracał się wszak do elity zabójców z SS.

– Miał manię skuteczności i wydajności, szczególnie swojej policyjno-esesmańskiej maszyny. Osobiście dokonywał inspekcji egzekucji i obozów, np. latem 1941 roku oglądał zamordowanie około stu Żydów pod Mińskiem. Zniósł to nie najlepiej i doszedł do wniosku, że zabijanie strzałem w głowę zbyt wiele kosztuje, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Martwił się o morale esesmanów. Bał się, że morderców nie da się potem utrzymać w korbach, zwłaszcza że władze III Rzeszy doskonale zdawały sobie sprawę z narastającej przestępczości wywołanej długotrwałą wojną. Korupcja i kradzież były powszechnie – mówi Piskorski. – Szukając więc nowych metod masowego zabijania, naziści stworzyli obozy zagłady. Procesy decyzyjne i wykonawcze związane z Holokaustem zostały odpersonifikowane, co w gruncie rzeczy pozwoliło na mord o skali trudnej wcześniej do wyobrażenia. Teraz nikt się nie musiał poczuwać do winy.

Gdy Himmler przemawiał w Poznaniu, na terenach przedwojennej Polski niemal wszyscy Żydzi byli już wymordowani. – Już pod koniec 1942 roku Himmler zdawał się być myślami dalej – przy koncepcie Generalnego Planu Wschodniego zakładającego germanizację terenów podbitych na Wschodzie – mówi prof. Piskorski. – Po poprawkach Erharda Wetzela z Ministerstwa ds. Terytoriów Okupowanych na Wschodzie w ostatnich dniach listopada 1943 roku Generalplan Ost zaczął być próbnie wdrażany na Zamojszczyźnie. Ta decyzja pokazuje obłąd Himmlera, który pod wpływem zwycięstw na frontach popadł w euforię i tracił kontakt z rzeczywistością. Chciał zmienić nie tylko polityczną, ale i narodowościową mapę ogromnych

obszarów – od Warty aż po Syberię. Polska i kraje bałtyckie miały zostać zgermanizowane.

Himmler zapowiadał zniszczenie struktur administracyjnych i podstaw etnicznych Białorusi, Rosji i Ukrainy. W sumie zamierzał przesiedlić ponad 50 mln ludzi. – W wypadku Rosjan brano pod uwagę ich stopniowe wyniszczenie za pomocą „dobrowolnego” programu sterylizacji i masowych aborcji. Polaków ze względu na obawy przed protestami z zagranicy chciano wysiedlić do Brazylii, a przede wszystkim rozrzucić po Syberii, gdzie z polsko-rosyjskiej mieszanki miał powstać naród Sybiraków pod niemieckim kierownictwem. I to wszystko w ciągu dwudziestu lat. Himmler chciał zobaczyć rezultaty swych wysiłków – mówi szczeciński uczonek. Te mordercze plany zburzyła klęska pod Stalingradem.

DOWÓD W NORYMBERDZE

Choć Himmler nie przygotowywał szczegółowo przemówień, to zazwyczaj mówił długo. Mowy nagrywano na woskowych płytach, a następnie spisywano z nich słowa Himmlera i autoryzowano. Na końcu płyty niszczone.

W przypadku mów z Poznania płyta z zapisem pierwszego wystąpienia Himmlera przetrwała wojnę. Zachował się też stenogram drugiej mowy.

– Trudno powiedzieć, dlaczego przetrwała akurat ta płyta. W 1942 roku Himmler zarządził akcję „1005” – niszczenie śladów po masowych mordach Żydów, ale też Rosjan i Polaków, zwłaszcza w Wielkopolsce i na Pomorzu – tłumaczy prof. Piskorski. – Choć więc Holokaust jest najlepiej udokumentowaną zbrodnią w dziejach, to świadectw po nim nie zachowało się wiele, a na dodatek niektóre z nich pozwalają na zróżnicowane interpretacje. Eufemistyczna mowa nazistowskich dokumentów daje do dziś pożywkę tym wszystkim, którzy chcieliby zanegować masowe mordy Żydów.

Odkryte przez aliantów nagranie pierwszej poznańskiej mowy Himmlera stało się jednym z dowodów podczas procesu norymberskiego. – Dzisiaj ta niewiarygodna wprost mowa jest jednym z najbardziej namacalnych

dowodów na zorganizowaną zagładę Żydów. Co do tego historycy nie mają wątpliwości, zwłaszcza od znalezienia w 1970 roku zapisu przemówienia Himmlera z 6 października – mówi prof. Piskorski. Warto pamiętać, że przysłuchiwał się mu m.in. minister propagandy Goebbels, który napisał na łamach swojego dziennika, że sprawę żydowską trzeba rozwiązać zgodnie z rozumowaniem Himmlera. Radykalnie i do końca, aby następne pokolenia nie musiały się tym zajmować.

Heinrich Himmler nie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze – w maju 1945 roku został zatrzymany i rozpoznany przez Brytyjczyków, ale po aresztowaniu zdołał połknąć cyjanek.

CO WIEDZIAŁ SPEER?

Wiele wskazuje na to, że 6 października 1943 roku wśród słuchaczy Himmlera był Albert Speer, minister odpowiedzialny za zbrojenia. W Norymberdze Speer zaprzeczał, jakoby wiedział o Holokauście. Jednak 6 października 1943 roku był w Poznaniu i przed południem mówił o sytuacji w przemyśle zbrojeniowym przed tymi samymi gauleiterami, do których po południu przemówił Reichsführer SS. Czy Speer był wśród jego słuchaczy?

Po wojnie zapewniał, że nie, że przed wystąpieniem Himmlera wyjechał do kwatery Hitlera w Kętrzynie. Przedstawiał na to świadków – towarzyszy swojej podróży. Tyle że w mowie Himmlera z 6 października jest passus poświęcony produkcji futer i odzieży w getcie warszawskim, co miało szkodzić gospodarce wojennej. Himmler powiedział: – Naturalnie, że to nie ma nic wspólnego z towarzyszem Speerem. Pan nic na to nie może poradzić.

Speer uniknął kary śmierci. W Norymberdze dostał dwadzieścia lat więzienia za współudział w utworzeniu systemu pracy przymusowej w III Rzeszy. Zmarły w 1981 roku minister ds. uzbrojenia i amunicji, a także ulubiony architekt Hitlera, do końca życia zaprzeczał, by był świadkiem wystąpienia Himmlera w Poznaniu.



AKCJA „BIAŁA RÓŻA” ODWOŁANA

Naczelnik wpada w jadłodajni na Nowym Świecie. Choć wygląda na załamanego, nie poddaje się. Gdy gestapowcy wiozą go z Warszawy do Poznania, wyskakuje z rozpędzonego samochodu.

Poznań, luty 1944 roku. Wszystko jest już jasne. To ma być akcja błysk. Atak nastąpi na trasie Fort VII – Dom Żołnierza. Akcja ma duże szanse, Niemcy nie spodziewają się przecież próby odbicia druha „Szarego” w Poznaniu. „Flo” ma odzyskać wolność w mieście, w którym zaczęła się jego wielka przygoda z harcerstwem.

POGODNY DRUH FLOREK

Poznań, osiemnaście lat wcześniej, 1926 rok. W mieszkaniu szpitalnej salowej Franciszki Marciniak przy Szkolnej 18 (dziś nr 4) melduje się jedenastoletni bratanek Florian. Chłopak przyjechał ze wsi Gorzyce pod Czempiniem (powiat kościański). Jest trzecim spośród dziesięciorga dzieci Pawła i Wiktorii z domu Szajek. Właśnie ukończył szkołę podstawową w Gołębinie Starym. Chłopiec ma ambitne plany – podejmuje naukę w Państwowym Gimnazjum św. Jana Kantego.

Gimnazjum to w okresie międzywojennym prężny ośrodek harcerski – działa w nim 21. Poznańska Drużyna Harcerzy im. Tadeusza Rejtana. Florkowi imponują koledzy w mundurach – wstępuje do drużyny. Szybko zaczyna się wyróżniać, o „druhu Florku” jest coraz głośniej: najpierw jest zastępowym, potem przybocznym, wreszcie drużynowym.

Zbiórki odbywają się w harcówce, mieszczącej się w piwnicach gimnazjum. Mroczne pomieszczenie o łukowatych sklepieniach z cegły, ogień płonący w kominku, pniaki zamiast krzeseł, lampki naftowe – wszystko to robi wrażenie na Marciniaku i jego kolegach. Na ścianie na honorowym miejscu wiszą: Chrystus na krzyżu, godło państwowe i harcerski krzyż.

„Nagle z głębi harcówki wchodzi starszy kolega i daje komendę: baczność! Grupa chłopców niezdarnie podrywa się z miejsc. Wchodzi szczupły piątoklasista, odbiera meldunek, daje komendę: spocznij! Chłopcy zajmują miejsca. Przedstawia się nam: jestem przybocznym drużynowego, nazywam się Florian Marciniak; mnie podlegać będą najmłodsze zastępy, aż do klasy

czwartej! Na wszystkich twarzach zaczyna malować się powaga i szacunek dla starszego kolegi” – wspominał Mieczysław Namysł, członek Szarych Szeregów.

W 1934 roku Marciniak zdaje maturę. Rok później jest już podharc mistrzem, a w 1938 roku – harcmistrzem. Studiuje prawo na Uniwersytecie Poznańskim, uzyskuje tytuł magistra praw. Pracuje w Banku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, ale popołudnia nadal poświęca harcerzom. Jako jeden z najmłodszych harcmistrzów ZHP zostaje wiceprezesem Akademickiego Koła Harcerskiego im. Heliodora Świącickiego.

Marciniak wzbudza zaufanie – zostaje zastępcą komendanta Szkoły Instruktorskiej w Górkach Śląskich, Aleksandra Kamińskiego. Jest też kierownikiem Wydziału Młodzieży w Wielkopolskiej Komendzie Chorągwi Harcerzy. Pomimo obciążeń nadal kieruje 21. Poznańską Drużyną Harcerzy. Złoty, obozy, kursy harcerskie – to jego żywioł.

Koledzy ze studiów wołają na niego „Flo”. Ma poczucie humoru, co zjednuje mu przyjaciół. Gdy jego dwaj przyjaciele chcą się pojedyńkować, przychodzi jak sekundant na umówione miejsce w pożyczonym od ojca fraku i cylindrze, obracając napiętą sytuację w żart. Do pojedynku nie dochodzi.

Gdy kolega ze studiów Edward Serwański leży w akademiku „Bratniak” z chorym żołądkiem, „Flo” rzuca mu z tajemniczą miną: „Trzymaj się!”. Pół godziny później przynosi mu butelkę z kroplami Inoziemcowa. Musiał po nie pójść do centrum Poznania. Pieniądzy nie przyjmuje.

Uwielbia teatr. Chodzi na każdą premierę – na tak zwaną jaskółkę. Gdy przed rozpoczęciem przedstawienia gasną światła, przeskakuje z kolegami barierę do wolnych krzeseł. Raz, gdy „Flo” waha się, zapalony od tyłu reflektor oświetla go akurat w momencie, gdy znajduje się na barierce. Jest zawstydzony, bo koledzy złośliwie przytrzymują go w tej pozycji.

„We wspomnieniach powojennych kolegów ze studiów, a także AKH [...] Florian Marciniak pojawiał się jako wybitnie obowiązkowy i sumienny młody instruktor harcerski, niezwykle koleżeński i opiekuńczy w stosunku do młodszych kolegów” – napisała Zofia Grodecka z komisji historycznej

poznańskiego okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK.

W 1937 roku „Flo” rezygnuje z wymarzonego zjazdu skautów w Holandii. Powód: rodzinie nie wystarczyłoby pieniędzy na obóz harcerski dla jego brata Mariana.

Dwa lata później, 28 sierpnia 1939 roku, Marciniak wraca do Poznania z wycieczki instruktorskiej do Anglii i Francji. Jedzie w harcerskim mundurze pociągiem przez hitlerowskie Niemcy. Zapewne zdaje sobie sprawę z burzy, która nadciąga.

KATEGORIA B, ALE W POGOTOWIU

Pod koniec sierpnia 1939 roku wojna wydaje się nieunikniona. W Polsce mobilizacja. Marciniak idzie na komisję poborową. Chuderlawy dwudziestoczwololatek nie jest okazem zdrowia. Lekarze kwalifikują instruktora do kategorii „B” i nie zostaje zmobilizowany. Druh Florek nie zamierza czekać bezczynnie. Wraz z harcmistrzem Franciszkiem Firlikiem tworzą Pogotowie Wojenne Harcerzy w Poznaniu. Gdy 1 września 1939 roku w samo południe na Poznań spadają pierwsze niemieckie bomby, harcerze Marciniaka pomagają rannym. W następnych dniach są wartownikami i łącznikami.

Gdy 3–4 września z miasta wycofują się na wschód jednostki Armii „Poznań”, uzbrojeni w szpady i dubeltówki harcerze obsadzają Prezydium Policji. Marciniak zdaje sobie sprawę z tego, że lada dzień do niebronionego Poznania wejdą Niemcy. Dlatego 6 września harcerze z Pogotowia decydują się opuścić miasto i przedostać do Warszawy. Marciniak wraz z grupą harcerzy dociera do stolicy 8 września, melduje się w kierowniczym ośrodku harcerskim. W Chorągwi Warszawskiej ZHP pełni funkcję komendanta Pogotowia Harcerskiego. W oblężonej Warszawie dowodzeni przez niego harcerze są łącznikami i ewakuują rannych z pola walki.

Sytuacja militarna Polski jest beznadziejna. Kapitulacja stolicy, ostrzeliwanej i bombardowanej dzień w dzień, zbliża się wielkimi krokami. Wojskowi i harcerze myślą już o zejściu do działalności podziemnej. Marciniak uczestniczy w przygotowaniach pododdziałów harcerskich

do działań dywersyjnych. Dwukrotnie spotyka się z gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem, który jeszcze w trakcie walk o Warszawę rozpoczyna tworzenie konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski.

WYCHOWANIE PRZEZ WALKĘ

27 września 1939 roku. Ostatnie w wolnej Polsce zebranie Naczelnej Rady Harcerskiej na ulicy Polnej w Warszawie. Mimo że Marciniak jest jednym z najmłodszych, otrzymuje najtrudniejsze zadanie w swoim życiu – zostaje naczelnikiem Harcerstwa Męskiego w konspiracji. Ma stworzyć Konspiracyjną Kwaterę Główną. „Przyjmuję!” – odpowiada, jak zwykle błady na twarzy. Jego doradcą zostaje Aleksander Kamiński, wybitny instruktor harcerski.

Marciniak nadaje konspiracyjnemu harcerstwu kryptonim Szare Szeregi – wymyślił go jeszcze w Poznaniu. Sam przybiera pseudonimy „J. Nowak”, „J. Krzemień” i „Szary”.

Następnego dnia Warszawa poddaje się, do stolicy wkraczają oddziały Wehrmachtu.

Naczelnik Szarych Szeregów uważa, że mimo okupacji i podziału kraju między III Rzeszę i ZSRR należy zachować ciągłość i jedność ZHP. Za główne zadanie harcerstwa w konspiracji uznaje wychowanie przez walkę. „Upaść może naród wielki, ale zginąć – tylko nikczemny” – powtarza.

Prawdopodobnie to „Flo” uzupełnia tekst przyrzeczenia harcerskiego o przejściową, wojenną formułę: „Ślubuję na Twoje ręce pełnić służbę w Szarych Szeregach, tajemnic organizacyjnych dochować, do rozkazów służbowych się stosować, nie cofnąć się przed ofiarą życia”.

Początkowo harcerstwo w konspiracji obejmuje tylko starszą młodzież. Program dla najstarszych przewiduje przygotowanie do walki i kontynuację harcerskiego stylu życia. Marciniak staje jednak szybko przed trudną decyzją – postanawia włączyć do pracy najmłodszych, dwunasto- czy czternastoletnich chłopców, którzy tworzą „Zawiszę”. Starsi harcerze, szesnastoletni, formują „bojowe szkoły”.

Najstarsi – harcerze ponadosiemnastoletni wchodzą w skład grup

szturmowych. W ramach Wielkiej Dywersji współpracują z Kedywem Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. W ramach akcji „Wiss” obserwują stan i ruchy wojsk niemieckich, przekazując dane komendom AK.

Marciniak się waha. Obawia się demoralizacji harcerzy, którzy stykają się z zadaniami bojowymi. Szef Kedywu, pułkownik Emil August Fieldorf „Nil”, pomaga „Flo” podjąć decyzję o przeznaczeniu części podległych mu młodych ludzi do walki zbrojnej. Grupy szturmowe (m.in. bataliony „Zośka” i „Parasol”) zapiszą się chlubnie w historii Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego.

25 marca 1943 roku naczelnik Szarych Szeregów musi podjąć kolejną trudną decyzję. „Odbijamy!” rzuca w końcu do Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”. Następnego dnia grupa szturmowa Szarych Szeregów pod dowództwem Stanisława Broniewskiego odbija pod warszawskim Arsenalem z rąk gestapo harcmistrza Jana Bytnara „Rudego” i dwudziestu innych więźniów.

Marciniak jest blisko miejsca akcji, po jej zakończeniu wielokrotnie odwiedza „Rudego” w konspiracyjnym punkcie sanitarnym przy Ursynowskiej 46. Widzi, jak zmaltretowany przez gestapo Bytnar gaśnie. „Rudy” umiera cztery dni po oswobodzeniu.

Po akcji Marciniak nakazuje podwładnym opracować kolejny plan odbicia „na wszelki wypadek”. „Może się to przyda któremuś z nas?” – żartuje ze Stanisławem Broniewskim, swoim szwagrem (pół roku wcześniej żeni się z jego siostrą Zofią).

Harcerze z Szarych Szeregów mszczą śmierć „Rudego” 6 maja – zabijają gestapowca Schulza, który brutalnie przesłuchiwał Bytnara.

CZARNY OKRES W POZNANIU

Oprócz grup szturmowych na terenie Polski działa dwadzieścia konspiracyjnych chorągwi – „uli” – w sumie 8000 „ukrytych” harcerzy. Marciniak kładzie nacisk na utrzymywanie łączności z całym okupowanym terytorium kraju, w tym z „rodziną wielkopolską”. Na początku 1942 roku

jego najbliższy współpracownik Zygfryd Linda „Firley” zostaje wizytatorem Polski zachodniej.

Kwiecień 1943 roku to czarny okres w chorągwi poznańskiej. Gestapo przeprowadza serię aresztowań. 23 kwietnia tajniacy zatrzymują komendanta chorągwi, harcmistrza Jana Skrzypczaka „Ilskiego”. Skrzypczak wpada w momencie spotkania na Starym Rynku w Poznaniu z Lindą – łącznikiem z Warszawy (Zygfryd Linda jest torturowany przez gestapo. Po ciężkim śledztwie trafia do Fortu VII, umiera z wycieńczenia 3 lipca 1943 roku).

Ciężkie śledztwo przechodzi też Skrzypczak. Kierownictwo poznańskiej AK podejrzewa go o zdradę podczas przesłuchań, bo Niemcy aresztują kolejnych członków Szarych Szeregów. W grudniu 1943 roku do Wojskowego Sądu Specjalnego przy Komendzie Głównej AK wpływa nawet akt oskarżenia wobec „Ilskiego”, ale sąd nie zajmuje w tej sprawie stanowiska. Skrzypczak ginie w niewyjaśnionych okolicznościach w 1944 roku.

Gestapo chwyta wiatr w żagle: podejmuje obserwację domu rodzinnego Lindy w Szamotułach. Tajniacy przejmują list, napisany przez siostrę Zygfryda Lindy do jej drugiego brata Alfonsa, zamieszkałego w Mińsku Mazowieckim. W ślad za listem poznańscy gestapowcy docierają do Alfonsa Lindy. Nawet nie wie, że tajniacy obejmują jego dom.

WARSZAWSKA AKCJA GESTAPO

Choć czwartek 6 maja 1943 roku w Warszawie jest dżdżystym, ponurym dniem, Marciniak ma powody do satysfakcji – dowiaduje się o udanej likwidacji gestapowca Schulza, oprawcy „Rudego”. Około południa spotyka się na Złotej 8 ze Stanisławem Broniewskim i Ryszardem Białousem.

Marciniaka niepokoją wieści z Poznania o aresztowaniu „Firleya”. To główny temat rozmowy na Złotej. Spotkanie kończy się około czternastej, Marciniak wychodzi ze szwagrem. Na Marszałkowskiej „Flo” proponuje, by zjedli razem obiad u „Pań Domu” na Nowym Świecie. Ale „Orsza” spieszy się na obiad do żony. – Trzym się! – słyszy od Marciniaka, gdy w biegu wskakuje do tramwaju linii 18.

W tym samym czasie nieświadomy zagrożenia Alfons Linda spotyka się w Warszawie z harcmistrzem Andrzejem Kosickim. Obaj idą do jadłodajni „Panie Domu” na Nowym Świecie 7. Mają się tu spotkać z Marciniakiem.

Jest 14.45, gdy do lokalu wpadają gestapowcy z okrzykiem „Hande hoch!” Mierzą z pistoletów w głowy Kosickiego i Lindy. Wyprowadzają obu na ulicę, do samochodów.

Ale to nie koniec „kotła”. Kilka minut później do jadłodajni wchodzi naczelnik Szarych Szeregów. Również on wpada w ręce tajniaków. Świadkowie aresztowania zapamiętają tylko, że Florian Marciniak był blady.

BŁAGAM, 61885!

O 16.30 o wypadce dowiaduje się kierownictwo Szarych Szeregów. Dowództwo przejmuje Stanisław Broniewski. Konspiratorzy – wśród nich Zofia, żona Marciniaka – w pośpiechu „oczyszczają” mieszkania Floriana, a także położone trzy piętra wyżej lokum rodziców Broniewskiego.

„Orsza” stawia w stan alarmu Grupy Szturmowe. Jeszcze tego samego dnia w jego głowie rodzi się myśl o odbiciu Floriana z rąk gestapo.

Wzorują się na udanej akcji pod Arsenalem: akcja otrzymuje najpierw kryptonim „Meksyk III” (atak pod Arsenalem nosił kryptonim „Meksyk II”), a potem „Meksyk IV”, wreszcie „Chicago”.

Akcja wymaga ustalenia trasy przewożenia więźnia z Pawiaka na ulicę Szucha (gdzie przesłuchuje go gestapo) i z powrotem. Harcerze dowiadują się niebawem, że Marciniak jest przewożony w asyście sześciu gestapowców, uzbrojonych w maszynowe bergmany.

Grupa szturmowa ma cztery steny, ale wypożycza cztery karabiny maszynowe od kierownictwa Walki Cywilnej AK. Wywiadowcy grupy szturmowej muszą teraz wybrać najdogodniejsze miejsce ataku. Nie jest to łatwe – gestapo codziennie zmienia trasy. Wybór pada najpierw na plac Starynkiewicza, a potem na ulicę Koszykową, przed Biblioteką Publiczną. Akcją ma dowodzić Tadeusz Zawadzki „Zośka”.

8 maja grupa szturmowa na pozycjach dostrzega przez ułamek sekundy

swojego naczelnika w zielonym dodge'u, obstawionego czterema agentami. Auto ma nieznaną konspiratorom rejestrację. „Twarzy nie widzę. Szarą jego sylwetkę pamiętać jednak będę zawsze. Czy mnie wówczas widział, nie dowiedziałem się już nigdy” – napisze cztery lata później Broniewski.

Inna niż na samochodach warszawskiego gestapo rejestracja utwierdza konspiratorów w przekonaniu, że Marciniaka pojmało gestapo „z zewnątrz”. Grupa szturmowa przez kilka dni czatuje z bronią na Koszykowej, ale bez szans na atak. Nie udaje się zgrać momentu przewożenia Marciniaka z planowanym atakiem.

W niedzielę, 10 maja 1943 roku gestapowcy niespodziewanie przywożą skutego kajdankami Marciniaka do jadłodajni „Panie Domu”. To próba prowokacji. Przechodząc obok bufetu, naczelnik szepcze do znanej sobie z widzenia bufetowej: „Błagam, 61 885!”. To numer kontaktowy do organizacji. Marciniak chce poinformować swoich podwładnych, gdzie został „wystawiony”. To znaczy, że spodziewa się akcji odbicia i chce ją ułatwić.

Bufetowa nie do końca pojmuje jednak sens prośby naczelnika. Do Szarych Szeregów dociera komunikat: „Ostrzec właścicieli telefonu 61 885”. Organizacja „oczyszcza” sklep, w którym mieści się lokal. Kiedy Broniewski orientuje się, o co chodzi Marciniakowi, jest już za późno.

11 maja Broniewski zawiesza akcję „Chicago” – zielony dodge z Marciniakiem nie jeździ już bowiem po ulicach Warszawy. 13 maja gestapo wywozi Floriana Marciniaka do Poznania.

MIĘDZY 12 A 13 NA PLACU ZBAWICIELA

Podczas przesłuchań w poznańskim Domu Żołnierza Marciniak podejmuje grę z gestapo. Informuje śledczych, że raz w tygodniu między godziną 12 a 13 na placu Zbawiciela w Warszawie odbiera od nieznanomych łączników listy. To nieprawda, ale „Flo” liczy na to, że gestapo zawiezie go znowu do Warszawy, a tam uda mu się zbiec lub zostanie zauważony podczas wystawienia „na wabia” – i być może odbity.

Niemcy uznają zeznania Marciniaka za wiarygodne. W lipcu wiozą go

znowu w silnej obstawie samochodem osobowym do Warszawy. Marciniak krąży w gestapowskiej obstawie po placu Zbawiciela, ale nikt nie przychodzi mu z pomocą.

Gdy zeznania „Flo” nie potwierdzają się, gestapowcy grożą mu, że policzą się z nim po powrocie do Poznania. W drodze powrotnej z Warszawy Marciniak próbuje zbiec – mimo asysty wyskakuje z pędzącego auta pod Sochaczewem. Nie udaje się – naczelnik Szarych Szeregów doznaje wstrząsu mózgu. Przez trzy dni leży nieprzytomny. Trafia do osławionej celi 66 w poznańskim Forcie VII – podziemnej, kopulastej kazamaty pozbawionej okien. Ma zmasakrowane dłonie, odbite pośladki. Na głowie nosi chustę – to z powodu przewlekłego wycieku z uszu, skutku urazu głowy po wyskoczeniu z samochodu.

Towarzysze niedoli leczą jego rany okładami z moczonych w wodzie, brudnych ręczników. Mimo ran jest wożony przez sześć tygodni na przesłuchania do Domu Żołnierza. Biję go gestapowiec o azjatyckiej twarzy i ksywie Petri. Choć druh Marciniak wraca zбитy do nieprzytomności, tortury kwituje dowcipem: „To była rozmowa z moim tyłkiem”.

Naczelnik podtrzymuje więźniów na duchu, opowiada im o przyszłej pracy dla wolnej Polski. W celi słynne staje się jego ulubione powiedzenie: „Nic nie jest wieczne, Hitlera też szlag trafi! Wojna się skończy, a my stąd wyjdziemy”.

Mimo bestialskiego śledztwa nie ujawnia, kim jest. Nie zdradza też współpracowników.

Zachował się jedyny gryps „Flo” do żony: „Zochuś kochana! Strasznie za tobą tęsknię. Mam nadzieję, że znów się połączymy. Bobo, cóż to będą za cudne dni. Dotąd przeżyłem bardzo wiele, cierpiałem też dużo. Jestem jednak zadowolony z siebie [...]”.

OPERACJA „BIAŁA RÓŻA”

Wiadomość, że naczelnik jest więziony w Forcie VII w Poznaniu, dociera do Broniewskiego w czerwcu 1943 roku. „Orsza” zarządza nowy plan odbicia naczelnika Szarych Szeregów, tym razem w Poznaniu. Akcja otrzymuje

kryptonim „Biała róża”. Nie zapowiada się łatwo – oddalone o 300 kilometrów od Warszawy miasto to obecnie teren III Rzeszy – trzeba mieć mocne papiery, by przekroczyć granicę Generalnego Gubernatorstwa.

Plan jest dopracowany w szczegółach: wybrany z grup szturmowych zespół jedenastu najbardziej zaufanych ludzi ma pojechać do Poznania samochodem ciężarowym jako umundurowana ekipa Todta [niemieckiej organizacji pracy – red.]. W zespole są ludzie dobrze mówiący po niemiecku, z mocnymi papierami. W skrytkach wraz z nimi do Poznania pojedzie broń.

Za rozpoznanie odpowiadają harcerze z „Ula Przemysław”, czyli Chorągwi Wielkopolskiej. Ustalają plan Fortu VII i położenie celi nr 66. Akcja odbicia ma nastąpić na trasie codziennego konwoju więźniów między Fortem VII a więzieniem policyjnym w Żabikowie lub między Fortem VII a Domem Żołnierza, w którym mieści się gestapo. Wersja awaryjna to próba wjazdu pod pretekstem wykonania robót ziemnych na teren Fortu VII lub wtargnięcia do niego siłą. Brama ma zostać wysadzona za pomocą plastiku.

Plan opiera się na założeniu, że Niemcy nie spodziewają się takiej akcji w Poznaniu. Słabą stroną jest „odskok” po akcji – o ukryciu się po akcji w mieście z tak dużym odsetkiem Niemców nie ma mowy. W przygotowaniu kwater ma pomóc brat Floriana Marciniaka – Stanisław, mieszkający w Luboniu.

Ostatecznie konspiratorzy decydują się na ucieczkę po akcji w kierunku Warszawy (i ukrycie odbitego Marciniaka w Pomorzanach pod Kłodawą) lub w lasy na północ od Poznania. Potem mają przeniknąć do GG...

Nagle, w lutym 1944 roku akcja „Biała Róża” zostaje odwołana.

CZUWAJCIE!

W nocy z 18 na 19 lutego 1944 roku Niemcy wywożą Marciniaka i dwudziestu trzech innych harcerzy-instruktorów z Fortu VII. Ładują ich na ciężarówkę, a potem do pociągu. Skład jedzie mroźną nocą do obozu w Gross-Rosen (Rogoźnica na Dolnym Śląsku). Trasa prowadzi przez Kościan, Czempień... Marciniak prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, że przejeżdża nieopodal rodzinnych Gorzyc.

Białym światem 20 lutego esesmani wyprowadzają z wagonu zziębniętych więźniów. Prowadzą ich do Waschraumu (myjni), ale nie każą się rozbierać. Mają tylko zdjąć marynarki. Na więźniów czeka już sanitariusz SS. W dłoni ma strzykawkę z trucizną....

Tę wersję ostatnich chwil druha Marciniaka i jego towarzyszy przekazał Mieczysław Mołdawa, więzień Gross-Rosen. Dziś nie sposób już jej zweryfikować. Jedno pozostaje pewne – Florian Marciniak nie przeżył obozu.

W styczniu 1945 roku Niemcy aresztują w Krakowie żonę Floriana. Umiera na tyfus w obozie Bergen-Belsen.

W miejscu, gdzie zginął naczelnik Szarych Szeregów, w 42. rocznicę utworzenia tej formacji odsłonięto tablicę kończącą się słowami: „Ja odszedłem, Wy, którzyście zostali – Czuwajcie!”.



SOWIECKO-POZNAŃSKIE BRATERSTWO BRONI

Kilka tysięcy polskich cywilów zostało zmuszonych przez Sowieców do szturmowania cytadeli. Nie miało znaczenia, czy tak zwani ochotnicy mieli przeszkolenie wojskowe, czy po raz pierwszy w życiu trzymali broń w rękach.

Przez lata PRL-u historia ta była skrzętnie skrywana przez cenzurę. W oficjalnych wspomnieniach „cytadelowców” – mieszkańców Poznania, którzy u boku Armii Czerwonej walczyli o miasto – zimowe zmagania z 1945 roku przedstawiano jako dowód sojuszniczych więzi, łączących narody polski i radziecki. „Lud Poznania w walce o swoją wolność połączył się samorzutnie i intuicyjnie z naszym wielkim i szczerym sprzymierzeńcem, Armią Radziecką” – napisał trzy lata po wojnie Feliks Róg-Mazurek w propagandowym dziele „Poznaniacy w walce o Cytadelę”.

W mieście zbyt wielu było jednak świadków wydarzeń, by sceny werbunku poznaniaków w lutym 1945 roku poszły w zapomnienie. Musiały być żywe w pamięci także później, skoro jeszcze w wydanej w 1980 roku książce Zbigniewa Szumowskiego „Boje o Poznań – 1945 r.”, choć od walk o miasto minęło 35 lat, autor czuł się w obowiązku podkreślić, że „żołnierze radzieccy zostali przydzieleni milicji wyłącznie dla zapewnienia swobody poruszania się werbowanych i werbujących po mieście, będącym przecież strefą przyfrontową”. A jak było naprawdę?

SOWIECI NIE MAJĄ LUDZI

Poznań, połowa lutego 1945 roku. Zaprawieni w bojach „stalingradzycy” z 8. Gwardyjskiej Armii gen. Wasilija Czujkowa po niemal czterech tygodniach zaciętych walk opanowali centrum miasta i zepchnęli Niemców na północ – na teren cytadeli zbudowanej w XIX wieku przez pruskiego zaborcę. Jest ona ostatnim bastionem niemieckiej obrony w Poznaniu. Rosjanom się spieszy – muszą zdobyć cytadelę do 23 lutego, czyli w 28. rocznicę powstania Armii Czerwonej. Taki rozkaz wydał Józef Wissarionowicz Stalin.

Pierwsze natarcie na cytadelę rusza 18 lutego 1945 roku. W grubych, ceglanych fortyfikacjach broni się 10–15 tysięcy niemieckich żołnierzy, dowodzonych przez gen. Ernsta Gonella, komendanta Festung Posen (Twierdzy Poznań). Twierdza to dla nacierających Rosjan twardy orzech

do zgryzienia. Mimo bombardowania i ostrzału artyleryjskiego stare pruskie umocnienia trzymają się mocno. Atakująca cytadelę sowiecka piechota nie może sforsować głębokich na osiem metrów fos. Sowieccy piechurzy z 74. i 82. Dywizji zalegają za ziemnymi skarpami pod zmasowanym ogniem z broni maszynowej.

Sowieckie dowództwo zdaje sobie sprawę, że brakuje mu ludzi, zwłaszcza w służbach inżynieryjno-saperskich. 20 lutego, w trzecim dniu szturm, Czujkow dochodzi do wniosku, że nie zdobędzie cytadeli bez posiłków. Wpada na pomysł, by wzmocnić efekt propagandowy walk, zaciągając do walki miejscowych Polaków. PKWN i pełnomocnicy rządu lubelskiego gorąco popierają ten pomysł.

Rosjanie rozpoczynają przymusowe wcielanie cywilów do oddziałów przygotowywanych do ataku na cytadelę. Od domu do domu chodzą razem z milicjantami. Werbuja nie tylko przeszkolonych wojskowych – zabierają ze sobą wszystkich mężczyzn, którzy ich zdaniem fizycznie nadają się do walki. Wielu ze zwerbowanych nigdy nie miało w ręce karabinu.

PÓJDZIECIE ZDOBYWAĆ CYTADELE

Lucjan Kwaśniewski, wówczas mały chłopiec, przełom stycznia i lutego 1945 roku przeżył w piwnicy kamienicy na Górnej Wildzie. „Któregoś ranka zobaczyłem na podwórzu tłum mężczyzn w cywilnych ubraniach” – wspominał. „W bramie stali uzbrojeni wartownicy. Mnie i mojego brata przepuszczali, bo byliśmy dziećmi. Ci mężczyźni dawali nam listy do rodzin. Mój starszy brat kilka zaniósł, gdzieś w okolice ul. Ogrodowej. [...] Tych, którzy zostali na podwórku, Rosjanie wyprowadzili na ulicę i ustawili ich w czwórki. Z jakiegoś konnego wozu powyjmowali karabiny i rozdali tym ludziom. Nabojów oczywiście im nie dali. Potem poprowadzili ich w stronę centrum. To właśnie byli ci słynni cytaделowcy”.

Zygmunta Busza, wówczas niespełna piętnastolatka, Sowietci złapali 22 lutego 1945 roku na Szewskiej: „Było ich może pięciu. »Towariszcz, popracujesz!« – usłyszałem. Byłem bardzo wysoki i to prawdopodobnie zdecydowało, że mnie zabrali. Na ulicy nikt w moje dokumenty nie

patrzył”.

Takich jak Busz Rosjanie zebrali około pięćdziesięciu. Szli czwórkami przez Garbary. „Rosjanie po bokach, z przodu i z tyłu, z pepeszami zwieszonymi przez rękę. Czuliśmy się trochę jak niewolnicy. Na Garbarach przeszły nas ciarki, bo jeden z Polaków uciekał i Rosjanie do niego strzelali. Udało mu się zwać, ale my popadliśmy w przygnębienie. Nikt nie chciał zginąć tuż przed wyzwoleniem” – wspominał Busz.

21 lutego 1945 roku późnym popołudniem na Półwiejskiej, gdzie Edward Czerwiński mieszkał z rodziną, zjawił się milicjant z biało-czerwoną opaską na ramieniu. Przyniósł wiadomość, że wszyscy mężczyźni od osiemnastego do czterdziestego piątego roku życia mają się zgłosić na posterunek przy ulicy Kwiatowej. »Rano pójdziecie zdobywać Cytadelę« – powiedział. „Miałem wtedy 21 lat, mój brat 20. Przyjęliśmy to jako polecenie, bo byliśmy wychowani w dyscyplinie przedwojennego harcerstwa” – relacjonował po latach Czerwiński. „Wieczorem zgłosiliśmy się na posterunek. Sformowano z nas 27-osobowy pluton i zaprowadzono na Łąkową 12. Czekali tam sowieccy oficerowie. »Czemu nie zrobiliście w Poznaniu powstania?« – zapytali z wyrzutem. Ogarnął nas śmiech. W okupowanym Poznaniu, licznie zamieszkanym przez Niemców, było to przecież niemożliwe”.

Rodzina Leonarda Janiszczaka schroniła się 21 lutego 1945 roku w opuszczonym mieszkaniu przy ulicy Nad Wierzbakiem. W nocy do drzwi zapukał uzbrojony, młody rosyjski żołnierz: „Byliśmy wystraszeni, bo kilka dni wcześniej pijani Rosjanie przy Urbanowskiej chcieli strzelać do Polaków. Sołdat spojrzał na nasze dzieci i przez chwilę jakby się zawahał. Ale zaraz wskazał na mnie. »Chodi!« – powiedział. Co było robić, poszedłem. Później mówiono o nas: »ochotnicy«, a ja zawsze podkreślam, że mnie zabrali, zwerbowali. Żadnym ochotnikiem nie byłem”.

Rosjanie zaprowadzili Janiszczaka i kilku innych mężczyzn na posterunek milicji przy Mazowieckiej. Spisali ich, niczego nie wyjaśniając. „Nikt nie protestował, bo nie byliśmy pewni swojego losu. Zebrali nas tam ponad pięćdziesięciu. Poprowadzili na Słowackiego 22, a potem na tyły Opery. Wtedy domyśliliśmy się, że idziemy na Cytadelę”.

WIEDZIAŁEM, GDZIE SIĘ NACISKA

Czerwiński i inni zwerbowani mężczyźni dostali od Rosjan karabiny, choć większość z nich nigdy nie miała w ręce broni: „Nawet podchorąży – nasz dowódca – miał pepeszę pierwszy raz w życiu. Urządziliśmy kanonadę: każdy strzelał w powietrze. Miałem trochę obycia, bo przed wojną jako harcerz strzelałem z małokalibrowki. Wiedziałem chociaż, gdzie się naciska, a gdzie naciąga. Sowietci rozdali nam naboje, a potem nasypali w czapki cukru. Co można było zrobić z sypkim cukrem? Zaraz go zjedliśmy”.

Józef Hasiński, żołnierz Armii Krajowej, a po wojnie więzień polityczny, wspominał, że w styczniu 1945 roku poznaniacy witali Rosjan jak wyzwolicieli, ale stosunek miejscowych do czerwonoarmistów szybko się zmienił. „Zaczepiali kobiety, szabrowali. Najpierw mieszkania ponemieckie, w końcu i polskie. No, a potem wyszło na jaw, że przymusem wyciągali mężczyzn z domów i zmuszali ich do pomocy w zdobywaniu Cytadeli. Musieli pod ostrzałem nosić zwodzone mosty i przerzucać je przez fosy. Wielu Polaków wtedy zginęło, bo nikt ich nie przeszkolił w walce ulicznej”.

20 lutego 1945 roku późnym wieczorem młodzi poznaniacy, zebrani przez Rosjan w budynku fabryki marmolady przy Wzgórzu św. Wojciecha, sposobili się do ataku. Od czerwonoarmistów dostali do kieszeni naboje, a do ręki karabiny i kromki chleba z masłem. Kiedy zjedli, rosyjscy oficerowie dali im kartki, żeby napisali listy do rodzin. Wśród zmobilizowanych był też Franciszek Trawka, zwerbowany przez polskich milicjantów i żołnierza radzieckiego: „Zebrała się nas spora grupa, niektórzy młodzi mieli ledwie po 14–15 lat. Spisali nas, była zbiórka, przemówił do nas rosyjski oficer, a potem nasz. W miejsce przysięgi zaśpiewaliśmy »Rotę« i Alejami Marcinkowskiego, pośród płonących domów, ruszyliśmy ku Cytadeli”.

Trawka przed wojną ćwiczył strzelanie w gimnazjum. Dlatego z karabinem, który dostał, potrafił się obchodzić. Inni jednak uczyli się strzelać dopiero na polu bitwy. O ile zdążyli.

Grupę Trawki przydzielono do grupy czerwonoarmistów, którzy opanowali przyczółek po drugiej stronie fosy. Nacierali w nocy w miejscu, w którym dziś na cytadeli stoi obelisk z gwiazdą. „Po ściętych drzewach,

pod niemieckim ostrzałem, przeszliśmy nad fosą. My strzelaliśmy pojedynczo, a Niemcy kosili seriami. Tam mnie strach obleciał” – opowiada.

Zalegli po drugiej stronie fosy. Nad ranem dostali ciepłej zupy i humory im się poprawiły. Przez dwa dni posuwali się po kilka metrów do przodu, a potem wycofywali pod kontratakami Niemców. „Obok nas walczyli Białorusini, odnosili się do nas przyjacielsko. Było jasne, że albo razem pójdziemy do przodu, albo razem tu zostaniemy. Jak to z bracią żołnierską bywa” – wspominał Franciszek Trawka.

W noc decydującego szturmu dostał serią po karabinie, urwało mu cztery palce: trzy u prawej dłoni, jeden u lewej. Było zimno, więc krew szybko skrzepła. Rosyjski lekarz w szpitalu polowym spojrzął na prawicę Trawki i zdecydował: „Utniemy rękę w nadgarstku. Tu się protezę założy!”.

Trawka wybronił się przed amputacją prawej dłoni. Potem nauczył się pisać lewą ręką. Ale golenie się lewą było już trudniejsze.

NIEMCY MIELI NAS JAK NA DŁONI

Większość cywilów Rosjanie skierowali do prac saperskich, prowadzonych na cytadeli pod bezpośrednim ogniem niemieckiej broni maszynowej. Pod ostrzałem cywile budowali przeprawę przez fosę, dzięki której do wnętrza twierdzy miały się dostać sowieckie czołgi.

Janiszczak: „Rosjanie rozkazali rozbierać baraki i rzucać belki do fosy. »Muszą po nich przejść czołgi!« – wyjaśnili. Poszły w ruch młoty i siekiery. Rozebraliśmy szopy, stojące niedaleko obecnej alei Niepodległości. Szliśmy z belkami pod stromą górkę, pośród rozbitych grobów i kikutów drzew. Jak nieśliśmy belki we czterech, a jeden oberwał, to wszyscy leżeliśmy. Błoto było olbrzymie, zgubiłem w nim buty. Żadnej broni nie dostaliśmy. Dopóki szliśmy pod górę, czuliśmy się bezpieczni. Ze szczytu trzeba było jednak zejść w niszę, w której była fosa. I wtedy Niemcy mieli nas jak na dłoni. Byliśmy wystawieni na otwarty ogień z fortów. Rosjanie niby nas ochraniali, ale wielu Polaków poległo”.

Busz: „Położyliśmy się przy moście kolejowym na Garbarach, bo z wyżyn Cytadeli strzelali snajperzy. Po jakimś czasie dostaliśmy się w okolice

angielskiego cmentarza. Pod osłoną bunkra nosiliśmy szyny z torów kolejowych. Część z nas dostała piły i ścinała słupy telegraficzne. Broni nam nie dali. Budowaliśmy most przez fosę. Rosjanie chcieli przeprowadzić po nim czołgi i trzeba go było wzmocnić. Metr za murem, pod który kładliśmy belki, trwały walki. Nie można było podnosić głowy, bo kule i odłamki fruwały w powietrzu”.

POLITRUCY RZUCAJĄ CEGŁAMI

Przez całą noc z 21 na 22 lutego 1945 roku Rosjanie bombardowali cytadelę. Nad ranem grupa Czerwińskiego miała zaatakować budynek przez wyłom muru. Kiedy ujrzeli rakietę, zerwali się z Sowietami do ataku: „Ci z przodu padli, bo w tym momencie Niemcy otworzyli ogień. Jak się okazało, mieli naprzeciwko wyłomu stanowiska ogniowe. Padliśmy. Strzelaliśmy na oślep. Ani my, ani Sowietci nie chcieliśmy ruszyć w podwórze. Leżeliśmy na rumowisku z cegieł, ostrzeliwani przez niemieckie moździerze. Co jakiś czas ktoś z nas obrywał. W pewnym momencie za naszymi plecami zaczęły spadać cegły. Obróciliśmy się. Sowieccy oficerowie polityczni, w czapkach z czarnymi otokami i olbrzymimi naganami u pasa, rzucali cegłami w swoich żołnierzy, żeby ci znowu poderwali się do walki. Ale szeregowcy nie podnosili się. Około południa Niemcy skoncentrowali ogień moździerzy na naszej grupie. Wtedy oberwałem w głowę i straciłem przytomność”.

Janiszczak: „Przez ostatnią noc szturm budowaliśmy most, wystawieni na strzały z Cytadeli. Sanitariuszy nie było. Jak już stało się coś złego, ratowaliśmy się sami. Rosjanie dozorowali nas, chodząc między nami z karabinami. Aż nagle 23 lutego nad ranem uciszyło się. Umilkły strzały. Jak się zrobiło jasno, Niemcy zaczęli wywieszać białe flagi i wychodzić z umocnień. Nie widać było żadnego oficera. Niektórzy mieli ślady po oderwanych dystynkcjach. Radość była ogromna. Byliśmy umorusani, wyczerpani, ale szczęśliwi jak nigdy!”.

Busz: „Co to była za radość! Nareszcie mogliśmy skończyć pracę, choć czołgi nie zdążyły przejechać po naszej konstrukcji”.

ZGINEŁO PONAD STU

Historycy szacują, że Rosjanie rzucili do walki o cytadelę około 2–3 tysięcy poznaniaków. Do dzisiaj brak jednak pełnych i wiarygodnych danych. W trakcie szturmego poległo co najmniej stu czterech mieszkańców Poznania. Dziś żyje ledwie kilkunastu „cytadelowców”.

Po walkach Sowieci zwalniali polskich cywilów do domów – ale nie wszystkich. Ranny Czerwiński trafił do szpitala polowego, zorganizowanego przez Rosjan w budynku Urzędu Pracy na Wildzie. „Co tam się działo! Ranni Sowieci, mimo dwudziestostopniowego mrozu, szli z Wildy w piżamach na Garbary po wódkę, którą dobywali z porzuconych przez Niemców cystern. Wracali z wiadrem alkoholu i wiadrem marmolady z fabryki »Putiatyckij«. I tak leżeli szczęśliwi, pili wódkę, a że nie mieli sztućców, marmoladę wybierali z wiadra rękami. Nas też zachęcali, ale nikt nie chciał. Wielu z nich wychodziło potem za potrzebą. Byli mocno pijani, więc co rano leżało na zewnątrz kilku sztywnych od mrozu” – wspominał.

W szpitalu Czerwiński usłyszał, że kiedy wyzdrowieje, pójdzie „na Berlin”: „Na moje szczęście do szpitala przyszła polska lekarka. Miała zadanie wyciągnąć Polaków. I udało się! Wykorzystując moment nieuwagi Rosjan, zaczęliśmy uciekać na Wierzbicice. Goniły nas przekleństwa sowieckiego komendanta szpitala”.

BIBLIOGRAFIA

OPRACOWANIA

Encyklopedia Konspiracji Wielkopolskiej 1939–1945, praca zbiorowa pod redakcją Mariana Woźniaka, Instytut Zachodni, Poznań 1998

Jan Bohdan Gliński, *Słownik biograficzny lekarzy i farmaceutów – ofiar drugiej wojny światowej*, Urban&Partner 1997

Harcerki 1939–1945. Relacje, pamiętniki. Być posłuszną prawu harcerskiemu..., praca zbiorowa pod red. Marii Straszewskiej, Wydawnictwo Naukowe PWN, 1983

Kronika Miasta Poznania, Okupacja, tom 2–3/2009

„Ojczyzna” 1939–1945. Dokumenty. Wspomnienia. Publicystyka, pod redakcją Zbigniewa Mazura i Aleksandry Pietrowicz, Instytut Zachodni, Poznań 2004

Krzysztof A. Tochman, *Słownik biograficzny cichociemnych*, t. I–IV, Wydawnictwo Ostoja, 2008–2011

KSIAŻKI

Piotr Bojarski, *Cztery twarze Prusaka. Historie Wielkopolskie*, Agora, Warszawa 2010

Stanisław Broniewski, *Florian Marciniak, naczelnik Szarych Szeregów*, Warszawa 1988

Daniel Costelle, *Eva Braun, intymność z Hitlerem*, Wydawnictwo Klub dla Ciebie, 2008

Catherine Epstein, *Wzorcowy nazista: Arthur Greiser i okupacja Kraju Warty*, Wydawnictwo Dolnośląskie, 2011

Joachim Fest, *Speer. Biografia*, Universitas, 2001

Karol Grünberg, *Ewa Braun. 15 lat z Hitlerem*, Książka i Wiedza, 1996

S. Jankowski, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*.

Wspomnienia 1939–1946, t. 1–2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980

Maciej Karalus, Michał Krzyżaniak, *Poznań 1945*, Wydawnictwo Vesper, 2010

Jerzy Korczak, *Konspiratorzy i zdrada*, Wydawnictwo W drodze, 2000

Piotr Korduba, *Tymczasem pa, Kochany Skarbunieczku. Listy rysunkowe Antoniego Kowalskiego do syna Jerzego z okupowanego Poznania*, Zysk i Ska, Poznań 2010

Agnieszka Łuczak, *Ze strachem pod rękę i śmiercią u boku – Wielkopolanki w konspiracji 1939–1945*, Wydawnictwo WBPiCAK, Poznań 2006

Czesław Łuczak, *Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu*, Poznań 1989

Czesław Łuczak, *Greiser*, Wydawnictwo PSO, 1997

Włodzimierz Nowak, *Obwód głowy*, Wydawnictwo Czarne, 2007

Peter Padfield, *Himmler, Reichsführer SS*, Wydawnictwo Iskry, 2005

Feliks Róg-Mazurek, *Poznaniacy w walce o Cytadelę*, Wielkopolski Instytut Wydawniczy, Poznań 1948

Zbigniew Szumowski, *Boje o Poznań 1945*, Poznań 1980

Stefania Tokarska-Kaszubowa, *Nenia*, Wydawnictwo Miejskie, Poznań 1999

Jerzy Zielonka, *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Leszno, Panorama, 2004

ARTYKUŁY PRASOWE

Włodzimierz Bogaczyk, Tomasz Maćkowiak, *Jak zdobyte Festung Posen*, „Gazeta Wyborcza”, Poznań, 23.02.1995

Marcin Fabjański, *Antek, juchta z Chwaliszewa*, „Gazeta Wyborcza”, Poznań, 1.03.1995

Zbigniew Snusz, *Spreparowałem piecyk elektryczny, czyli kulisy akcji Rollwerk*, Naszemiasto.pl, 7.09.2013

MATERIAŁY NIEPUBLIKOWANE:

Opracowanie autorstwa A. Borowskiej-Wałęskiej o sprawie Augustyna Brauna, w tym dwa życiorysy Augustyna Brauna

Opracowanie autorstwa Małgorzaty Wiater i uczniów V LO w Poznaniu poświęcone Wilhelmine Günther

ZDJĘCIA

Wstęp:

Niemiecka defilada w centrum okupowanego Poznania z okazji „drugiej rocznicy powstania Kraju Warty (Warthegau)”, październik 1941 r.

Wydra nie boi się śmierci:

Most Chwaliszewski w Poznaniu.

Irena „Nenia” Bobowska (na wózku), okres przedwojenny.

Ewa Braun pisze do Ewy Braun:

Ewa Braun, kochanka, a potem żona Adolfa Hitlera.

Ewa Braun ze Środy na zdjęciu, które wysłano do Ewy Braun. Archiwum rodzinne Ewy Smoleńskiej (z domu Braun).

Toksyny nur für Deutsche:

Franciszek Witaszek z żoną Haliną i córkami, 1941 r. Archiwum rodzinne Marioli Witaszek.

Franciszek Witaszek.

Wilka, Niemka z AK:

Wilhelmplatz w okupowanym Poznaniu (dziś plac Wolności). Wilhemine Günther z narzeczonym Antonim Jagłą.

Szatańskie chwytły:

Kościół św. Floriana na Jeźycach, miejsce tajnej akcji ministrantów.

Gdy prawda była zdradą:

Ekshumacja szczątków polskich oficerów, ofiar NKWD, w Katyniu.

Władysław Herz po powrocie z obozu w Dachau. Archiwum rodzinne Katarzyny Jendryczki.

Akcja życia Antka Ślepoka:

Most Chwaliszewski i port rzeczny na Warcie (w tle), okres międzywojenny.

„Ślepy Antek”, czyli Antoni Gąsiorowski, juchta Chaliszewa i żołnierz AK.

Niebezpieczna ślicznotka Marie Springer:

Zniszczony niemiecki pancernik „Tirpitz”.

Marie Springer, czyli Zofia Rapp.

Tajemnica „Róży”:

Gmach Domu Żołnierza, w czasie okupacji katownia poznańskiego gestapo.

Halina Cimino.

Historia zdrady „Aleksa”:

Nazistowskie święto w poznańskiej operze.

Zasypaliśmy ich grzecznie:

Teofil Rubasiński na zdjęciu z okresu wojny i w 2010 r., trzy lata przed śmiercią.

Tatuś rysuje świat. Bez wojny:

Jerzy Kowalski pokazuje rysunki ojca z czasów wojny. Zdjęcie wykonane w 2011 r., dwa lata przed śmiercią J. Kowalskiego.

Woskowa płyta Himmlera:

Heinrich Himmler wizytuje jednostkę SS na linii frontu.

Akcja „Biała Róża” odwołana:

Wehrmacht na placu Wolności (wówczas Wilhelmplatz) w okupowanym Poznaniu. Florian Marciniak, naczelnik Szarych Szeregów.

Sowiecko-poznańskie braterstwo broni:

Walki o centrum Poznania, luty 1945 r. W tle zamek cesarski.